Nr. 36 (1236). Warszawa, 21 Sierpnia (3 Września) 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

P. Koerber w Galicyi.

Oddawna zapowiedziany jako gość galicyjski, zjawił się p. Koerber d. 28 z. m. w Krakowie. Kto jest p. Koerber? Jest to prezes ministrów przedlitawskich i kierujący sprawami wewnętrznemi Przedlitawii. Skąd się dostał na te urzędy? Z urzędnika austryackiego, prezesa wydziału w tem samem ministeryum, którem teraz kieruje. Co i kogo wyobrażał, wchodząc na wysokie stanowisko? Nic i nikogo. Był i pozostał Niemcem austryackim w austryackiej służbie. Etnograficzne pochodzenie wycisnęło na nim pieczęć jedną, urzędnikowstwo wycisnęło drugą. Cesarz wziął go w styczniu 1904 r. na miejsce innego urzędnika p. Witteka, z którym już ani rusz wobec stronnictw dalej iść nie mógł. P. Koerber znał służbę, miał pewną energię i swadę ministeryalną—niewysokiego wprawdzie napięcia — miał przytem w sobie dużo tej bierności, która pod hasłem *quieta non movere* umie pchać taczkę z dnia na dzień, bez zasad, bez dążeń, bez inicyatywy — tak jak ją pchać można, a bardzo potrzeba, gdy się jest naczelnym ministrem austryackim pod rządami konstytucyi beustowskiej, zniepravionej jeszcze przez reakcyę niemiecką, centralistyczną w r. 1873.

Takim jest minister spraw wewnętrznych i prezes dzisiejszy. Ponieważ jednak jest on i z poczuć swoich, z narodowych nałogów Niemcem, a indywidualność ma zbyt słabą na to, aby się do głębi przejąć mogła ogólnie austryackim patryotyzmem, scharakteryzowanym przez Schaefflego w cennym pamiętniku pośmiertnym, przeto, mimo całej swej bierności, chcąc nie chcąc, musiał przedewszystkiem uśmiechnąć się do Niemców, i pierwsze też dwa lata swego ministrowania uśmiechami temi ożywiał. Dla miłości Niemców zniósł w roku 1901 w ministeryum spraw wewnętrznych departament galicyjski, motywując ten środek, wyraźnie antipolski, potrzebą wyjęcia spraw galicyjskich z pod wpływów parlamentarnych. Czuć drgającą strunę niemiecką w odpowiedzi, niby względami dyplomatycznymi ścieśnionej, na interpelacyę o zajścia grudniowe we Lwowie 1901 r. z powodu gwałtów wrzesieńskich. Jawnie już przychylnym dla Niemców austryackich był wniesiony przez p. Koerbera w październiku 1902 r. projekt języka urzędowego w Czechach, na który Czesi odpowiedzieli piekiełkiem, robionem przez rok cały w tak zwanym parlamencie, a rzeczywiście zajeździe wiedeńskim, tej sławetnej gospodzie dla wszelkiego rodzaju waśni, burd i wylewów namiętności narodowych.

Zwolna obciosywał się i ocierał urzędnik, wyrabiał minister, wykrzesywał z człowieka obojętnego — człowiek potrzebny. Kiedy prawo o zaciągu wojskowym, uchwalone skwapliwie w przedlitawskiej radzie państwa, wywołało straszliwą burzę za Litawą, p. Koerber umiał już dla przyzwoitości, dla honoru ministeryalnego podać się do dymisyi; ale już po dwu tygodniach otrzymał nowe votum zaufania i nowy patent od cesarza na sternika nawy austryackiej; nie było wówczas nikogo, ktoby go mógł zastąpić. I tak p. Koerber dobiega już piątego roku na swym stolcu rządowym wbrew przewidywaniom, które zostawiały mu ledwie kilka miesięcy na życie ministeryalne. Przyznać potrzeba, że wprawa przy sprycie zrobiła swoje nietylko w zakresie ogólnego kierunku w rządzie, ale i sprawności w parlamencie. Odpowiedź na zuchwałe drwiny Tiszy w sejmie peszteńskim, samo nawet wyzwanie buty węgierskiej w radzie państwa — dowiodły już niezgorszej wymowy politycznej. W szkole czynów p. Koerber zwolna przekształcił się na ministra; a ponieważ między ślepymi jednooki królem, więc i p. Koerberowi przyznać można charakter człowieka użytecznego, zapełniającego dziurę, którą źle, czy dobrze łatać potrzeba.

Co sprowadziło p. Koerbera do Galicyi? Czy jaka szczególna miłość, czy przyjaźń z Kołem polskiem lub którą z wielkości arystokratycznych kraju, posiadającego więcej hrabiów i baronów, niż ludzi? Uradowany samą już zapowiedzią *Czas* nie wahał się wzbudzić w czytelnikach swych naiwnej wiary, że minister chce poznać kraj, stan i potrzeby kraju. Na naiwność taką niezdobyło się z pewnością ani samo stronnictwo *Czasu*, ani żaden z ludzi głębiej i szczerzej rozumiejących i odczuwających potrzeby Galicyi, niż stańczycy, a obdarzonych zdrowym rozsądkiem. Nie poznaje się kraju, jego stanu, jego palących potrzeb w 10-dniowym objeździe, którego główną treścią jest oglądanie rzeczy godnych widzenia i zjadanie obiadów godnych arystokracyi. Zna się kraj dostatecznie, gdy się pilnie przegląda papiery ministeryalne, protokóły sejmowe i akta rady państwa, gdy się rzeczywiście poczuwa do obowiązku poznawania stanu, pojmowania i zaspakajania potrzeb tego kraju i obowiązek ten rzetelnie u siebie na ministeryalnem swym krześle wiedenskim spełnia. A p. Koerber nie spełnia go należycie — z winy może nietylko własnej, ale i Koła Polskiego. Nic mu nie pomoże podróż, niczego go nie nauczy. Nie powie nic mu nowego o gwałtownej potrzebie połączenia gminy dworskiej z chłopską, o konieczności rozszerzenia kuryi piątej, o potrzebie ordynacyi wybor-

czej galicyjskiej, o ubóstwie wymagającem hojniejszych, sprawiedliwszych „inwestycyi,“ o gorszącem zaniedbywaniu przemysłu miejscowego przy dostawach dla wojska, o krzyczącem w niebogłosy lekceważeniu potoków górskich — o całej tej niedoli, która każe Galicyi zapominać nawet o dobrodziejstwach autonomii. Wobec poważnych zadań rządowych podróż jest czczą towarzyską zabawką, a poznanie kraju piekącą ironią.

Listy z Niemiec.

Dziwne wrażenie robiła ostatnia sesya parlamentu niemieckiego. Kto miał sposobność przysłuchiwać się obradom, mógł zauważyć nerwowość, niepewność siebie, brak silnego i jednolitego kierunku w stronnictwach większości i w sferach rządowych. Nietrudno odgadnąć, że powodem tego wynik ostatnich wyborów do parlamentu, które przeraziły wprost rząd i stronnictwa większości. Tym ostatnim idzie przedewszystkiem o skuteczne zwalczanie skrajnej lewicy — do tego cała polityka powinna się zastosować — wszystkie inne kwestye schodzą na drugi plan. I oto z jednej strony widzimy demagogiczną zapowiedź rozszerzenia prawodawstwa socyalnego przez rząd, cały bukiet wniosków co do polepszenia ustaw robotniczych, podanych przez wszystkie prawie stronnictwa większości, demagogiczne przyjęcie delegatów kongresu robotników, nienależących do skrajnej lewicy, przez samego kanclerza rzeszy. Jednem słowem — nie zabrakło pięknych słów, ani obietnic, bardzo daleko idących w kierunku równouprawnienia klas pracujących i rozszerzenia prawodawstwa ochronnego. Praktyczny wynik tego wszystkiego wygląda jednak zupełnie inaczej. Parlament się rozjechał, nie stworzywszy ani jednego dzieła prawodawczego, któreby zasługiwało rzeczywiście na miano postępowego. Postanowiono, coprawda, na wzór sądów procederowych sądy kupieckie, lecz i tu ujawniła się zupełna wsteczność rządu niemieckiego i większości parlamentu. Nad tem prawem obradowano w czasie międzynarodowego kongresu kobiet.

W tej samej chwili, gdy zawsze grzeczny frazesowicz, p. Bülow, przyjmował przedstawicielki kobiet postępowych, w tej samej chwili przedstawiciel Bülowa oświadczył w parlamencie, że przyjęte przez większość czynne prawo wyborcze dla kobiet do nowoutworzonych sądów kupieckich, całą ustawę obali, bo rząd na taką reformę nigdy się nie zgodzi. Prawo wyborcze do owych sądów przyznano tylko pomocnikom, liczącym lat 25, a wybieralność tylko od 30 roku życia, tak że znaczna ich część na wybory przedstawicieli do sądu żadnego wpływu mieć nie będzie. I w tym razie — jak zawsze — wszelkie wnioski postępowe skrajnej lewicy zostały przegłosowane.

Nie przebrzmiały jeszcze echa szumnych oświadczeń społecznych Bülowa, a już posłowie demokratyczno-społeczni wystąpili z ciężkiemi oskarżeniami. Wykazano, że podczas bezrobocia w Krimiczowie władze zaprowadziły formalny stan oblężenia, łamiąc zasadnicze prawa konstytucyjne ludności. Pan Bülow milczał— bezprawie pozostało.

Wreszcie stosunek władzy do klas pracujących zależy nietylko od praw pisanych i ustaw, lecz przedewszystkiem od ich wykonania. Kilka lat temu zapowiedziano uchwalenie prawa, przewidującego w pewnych wypadkach dla strajkujących robotników straszną karę „zuchthauzu“ (domu karnego). Zapowiedź nie sprawdziła się. Projekt upadł niewysłany nawet do komisyi. Ale od tego czasu mamy w Niemczech *wyroki* zuchthauzowe, dające się uczuć szczególniej zorganizowanym robotnikom.

O ile więc pod względem społecznym demagogii słowa towarzyszył ciągle brak czynu lub jeszcze gorsze upośledzenie w rzeczywistości klas pracujących, o tyle pod względem politycznym sfery panujące wypowiedziały się kilkakrotnie dość otwarcie - szczególniej przy obradach nad budżetem ministeryum wojny — o potrzebie stanowczej walki przeciwko lewicy skrajnej. Po za parlamentem zaś mówiono już zupełnie wyraźnie o zniweczeniu dzisiejszego prawa wyborczego do parlamentu niemieckiego.

W Izbie panów pruskich przywódca konserwatystów, Manteuffel i hr. Mirbach, oświadczyli wyraźnie, że prawo wyborcze musi być zmienione, a przynajmniej tajność wyborów zniesioną. Bülow odpowiedział, jak zwykle. Ogólnie jednak zrozumiano, że rząd ma to samo życzenie, lecz czeka *odpowiedniej chwili*, by je wykonać. Jest to dziś sprawa na porządku dziennym, gdyż *Vorwärts* wykrył spisek sfer bardzo wpływowych przeciw obecnemu systemowi wyborczemu. Odbyły się już konferencye przedstawicieli większych stronnictw, w których rząd pruski brał udział. Uchwalono ulepszenie prawa wyborczego (3 klasy) do sejmu pruskiego i zrównanie prawa wyborczego do parlamentu z nowym systemem wyborczym do sejmu.

Tymczasem rząd pruski z jednej kompromitacyi wpada w drugą. Długo walczono w parlamencie o reformę procedury karnej, wojskowej. Nareszcie, kilka lat temu, prawo karne zostało cokolwiek zmienione, dopuszczono jawność sądów, w niektórych jednak wypadkach ograniczoną. Od dawna już nadużycia wojskowe, znęcania się nad żołnierzami są stale poruszane w obradach parlamentu. Odpowiadano przedstawicielom skrajnej lewicy, gdy wytaczali skargi o złe obchodzenie się z żołnierzami, że przesadzają, sprawy przedstawiają tendencyjnie itd. Tymczasem, jawność sądów wojskowych wykryła takie zdziczenie w armii niemieckiej, takie znęcanie się nad żołnierzami, tyle barbarzyństwa, że wszystkich ogarnęła zgroza. Proces porucznika Bilsego wykazał zgniliznę wprost niesłychaną, w niektórych sferach oficerów niemieckich. „Ein zweites Ferbach nied es nicht geben“ zawołał minister wojny, p. Einem w parlamencie, a lewica odpowiedziała chłodno i pogardliwie: „dopóki się nie znajdzie drugi Bilse“! Zaczęto coraz częściej wydalać publiczność z rozpraw sądów wojskowych. Rozeszły się pogłoski, że sędziów Bilsego ukarano dyscyplinarnie, ponieważ nie chcieli usunąć publiczności, pomimo kilkakrotnych domagań się prokuratora wojskowego. Bülow oświadczył jednak w parlamencie, że sprawy takie muszą się załatwiać zupełnie jawnie. Tymczasem *Vorwärts* ogłosił w tych dniach tajne rozporządzenie wyrażające sędziom wojskowym Bilsego niezadowolenie za dopuszczenie publiczności do rozpraw, które wykryły skandaliczne szczegóły z życia oficerskiego.

Mówiąc o skandalach niemieckich, trudno nie wspomnieć o hr. Mirbachu. Od wielu

---

Henryk Seton Merriman.

*

Szlakiem Żyda Wiecznego Tułacza.

Ktoś przecie jechać musi, to nie ulega wątpliwości.

I wielu spojrzało na mnie. Nie dlatego jednak, żebym ja miał być tym ktosiem, choć młody byłem jeszcze i bez wielkiego znaczenia. Ale że los obszedłszy się najpierw szorstko ze mną i odarłszy życie z wszelkiej wartości dla mnie, teraz zaczął obdarzać mię swymi względami. Znajdowałem się na drodze do znaczenia i sławy w moim zawodzie.

W owym czasie inaczej rzeczy się działy w Indyach. Mniej zaprzątano telegraf pytaniami o instrukcye. Więcej było czynu, niż gadania.

— Tak — odezwał się młody Martello— ktoś musi jechać. Pytanie tylko, kto?

I znowu spojrzeli na mnie.

— Wyżsi od nas będą stanowili o tem!— odrzekłem.

Wszyscy zaśmiali się w milczeniu, radzi, że ja będę musiał decydować, który z doktorów ma się udać do Capoo, gdzie wybuchła jakaś nieznana epidemia. Byłem coprawda najstarszym chirurgiem oddziału, i na całym tym obszarze tak dużym, jak Szkocya. Dziś tam już Indye, ale w czasie, o którym piszę, sprawa ta nie była jeszcze postanowiona. Byliśmy właśnie w trakcie regulowania jej z niespokojnem książątkiem krajowem.

Capoo znajdowało się w samym środku nowej prowincyi, my zaś staliśmy w jednem z jej miast pogranicznych. Za nami leżały Indye; przed nami — ziemia nieznana. Załogę w Capoo mieliśmy niewielką, lecz sobie wystarczającą, tylko nawiedziła ją choroba. A że zmarł im doktór, młody Barber, więc odrazu znaleźli się w położeniu bezradnem i, co koń wyskoczy, przysłali do nas z żądaniem pomocy i listem oddzielnym do mnie, zawierającym opis objawów klęski.

Ja miałem dwóch doktorów asystentów; więc sprawa wydawała się dość prostą. Jeden z nich musiał jechać. A co do tego który, także właściwie nie było wątpliwości. Obowiązek ten spadał na Thurkowa, jako na młodszego.

I wszyscy wiedzieliśmy, że on się nie uchyli przed jego spełnieniem, że chętnie pójdzie. Jedno tylko bruździło w tej sprawie: dowódcą naszego odziału był ojciec Thurkowa.

Kiedyśmy się jeszcze nad tem zastanawiali, ordynans ukazał się we drzwiach oficerskiej izby i rzekł do mnie:

— Brygadyer życzy sobie widzieć pana doktora.

Musiałem rzucić niedopalone cygaro i udać się za nim.

Kwatera brygadyera, za którą akuratnie wypłacano dość wysokie komorne, znajdowała się po drugiej stronie skweru, w samym środku, długą linią ciągnącego się, pałacu. Nie prowadziliśmy wojny. Przeciwnie, przyłożywszy miecz do gardła, zmuszaliśmy księcia krajowego do zachowania pokoju.

I we wszystkiem staraliśmy się utrzymać przyjazne stosunki. Bo nie przyszliśmy tu w zamiarach zaborczych. Oh, nie! Stanowiliśmy tylko eskortę dyplomaty wojskowego. Już rok przeszło staliśmy w tem mieście pogranicznem. Żony naszych starszych oficerów posprowadzały swe lary i penaty, a każda potrzebowała do tego przynajmniej trzech wozów, zaprzężonych w woły.

Przypuszczam, że byliśmy przedmiotem zawiści, bo używając wszystkich wrażeń nowości, nie wypłacaliśmy żadnej daniny wojnie. Mieliśmy dość siły, ażeby zgnieść to całe księstewko i ono wiedziało o tem, to też ceny w bazarach trzymały się uizko, a dostatek mnożył się w domach kolorowej ludności.

lat się budują zbory ewangielickie, za pieniądze zbierane na ten cel. Te interesy prowadził p. Mirbach. Otóż, na sądzie podczas rozpraw o oszustwo przeciwko dyrektorom zbankrutowanego, hypotecznego banku pomerańskiego wykryło się, że dyrektorzy wydali p. Mirbachowi kilkaset tysięcy marek, których nie zwrócono pomimo bankructwa, rujnującego setki drobnych właścicieli listówzastawowych. Ujawniło się dalej, że hr. Mirbach nadużywał organizacyi państwowej w celach zbierania pieniędzy, że brał je wszędzie, gdzie się dało: od Żydów, od katolików itd. — na kościoły ewangielickie.

J. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 26 z. m. Japończycy rozpoczęli ruchy przeciwko pozycyom, ciągnącym się od Anszan-dżanu lub Anszan-czanu (inna miejscowość, dalej na południe, ma tę samą lub podobną nazwę, zajęli ją Japończycy zaraz po Hai-czengu) przy kolei, przez Szahu-po i Anping do Liao-jangu i natarli na nie jednocześnie od południa i wschodu. Ponieważ na południu stali w większej odległości od celu działania, przeto początek ruchów od tej strony przypada już na d. 23 z. m., przyczem dwa pierwsze dni wypełniły utarczki, z coraz większem natężeniem ilościowem i jakościowem, między strażami, a później już i oddziałami przednimi właściwej linii bojowej. Pierwszy atak skierowali Japończycy d. 24 z. m. na Hsia-lin-tse, na północo-wschód od Hai-czengu, i posuwali się przez dwa dni następne statecznie na północ i zachód, tak iż d. 27 z. m. wieczorem wojska rosyjskie opuścić musiały Anszan-dżyan kolejowy, który też zaraz nazajutrz, w niedzielę zrana, zajęły wojska japońskie, prawdopodobnie gen. Oku i współdziałającego z nim Nodzu.

Już wtedy od dwóch dni wskutek natarcia Kurokiego rozstrzygnięty był los tych pozycyj, które osłaniały sam Liao-jang od południo-wschodu, a dostępne były dla ognia japońskiego już po zajęciu wejść do wąwozu Ju-szu-ling, około trzech tygodni temu. Tutaj po ruchach przedwstępnych w d. 25 z. m. przyszło nazajutrz do istotnej bitwy, zakończonej niepomyślnie dla gen. Kuropatkina. Gen. Sacharow, który o niej donosi, mówi, że Japończycy szli w ogień z fanatyzmem, że walczono na bagnety, że nawet oficerowie wyszli z boju z ranami mają na sobie ślady walki toczonej białą bronią i rewolwerami. Straty rosyjskie w zabitych i ranionych dochodzą do 1,500 (obliczenie pierwszej chwili). Dnia 27 z. m. bój był już mniej zacięty; ale nazajutrz już Japończycy, zająwszy po owej bitwie Anping i Tan(Kan)-kia-tun za wąwozem Szy-mun-ling, parli się dalej z biegiem rzeki, wpadającej na jakie 10 klm. po przed Liao jangiem do Tai-tse-ho, podstępując coraz bliżej pod Liao-jang. Współśrodkowość działań japońskich na obu czołach, południowem i wschodniem, nakazała gen. Oku posunąć się przez ten czas do Sza-ho pu o 20 klm. na południo-zachód od ogniskowego stanowiska gen. Kuropatkina. Jest ono mocno obwarowane sztuką polową, opiera się o rzekę Tai-tse i ma łączność stałą z Mukdenem, skąd w razie ostatecznej potrzeby mogą nadejść posiłki.

Dotarcie Japończyków od południa aż do rzeki „Sza-he,“ wpadającej do Tai-tse-ho, pod wspomnianem Sza-ho-pu odrazu oba fronty japońskie, z początku bardzo od siebie odległe, zamieniło w jeden wspólny, ciągły, nieco ku południu wygięty, a samo poczucie bojowe musiałoby sztabowi japońskiemu nakazać przedłużenie tego frontu z dążnością do zaokrąglenia się, tak na krańcu zachodnio-południowym, jak na wschodnio północnym, gdyby nawet rozum strategiczny wypowiedział mu posłuszeństwo. To też buletyny ogłoszone przez Agencyę tel. ros. donoszą o ukazaniu się d. 29 z. m. Japończyków na linii biegnącej na zachód od Liao-jangu; doniesienie to zaś przynosi tylko jeden z późniejszych momentów ruchu zaznaczonego już w poprzednich depeszach, o posuwaniu się wojsk japońskich trzema armiami, od południa, od wschodu i właśnie od zachodu, pomiędzy Tai-tse-ho i Uai-czeng-ho. O ile dążność powyższa wraziła się w rzeczywiście zajęte pozycye, o ile Japończycy zdołali podejść, do Szui-czeng np., od zachodu, a dotrzeć do górnej Tai-tse-ho od wschodu, o tyle mieli lepsze warunki w bitwie rozstrzygającej, która według buletynów z Liao-jangu rozpoczęła się już d. 30 z. m z samego rana i do godz. wpół do 10 zrana miała charakter walki przeważnie działowej. Góry wyglądały jak wulkany. Pół miliona wojska razem z obu stron w tej walce uczestniczyło: tyle nie miała „bitwa ludów“ pod Lipskiem.

Port Artura wytrzymywać musiał codziennie prawie napady armii gen. Nogu, poczynając od 22 z. m. Najgoretszy był dzień 27 z. m. Szczegóły, podawane to z Czyfu, to z Berlina ze źródła *Local-Anzeigera*, albo dzienników angielskich, pomijamy, jako niewiarogodne. Ważnem jest zajęcie od zachodu fortu Ie-szan (Ete-shan Anglików) nieulegające wątpliwości, ale należące jeszcze do dawniejszego czasu. Jako przedmiot doniesienia zastępuje ono nieprawdziwe zajęcie Liao-te-szanu lądowego (głównym jest nadmorski, z wielkim fortem i latarnią). Działania japońskie streszczają się w ustawicznym ogniu; codziennie wpada do warowni i miasta 120 granatów i szrapneli. Japończycy prowadzą podkopy, wprawdzie nie regularne, nie oblężnicze, ale osłaniające żołnierza i zarazem ułatwiające mu zbliżenie się do linij wewnętrznych.

Niema jeszcze dotychczas pewnych wiadomości o „Askołdzie“ i „Grozowoju“ w Szanghaju. Niestrudzony telegraf donosi wprawdzie to o rozkazie rozbrojenia, to zaczętem już rozbrojeniu, to wreszcie o nowych peremptoryjnych, a właściwie dilatoryjnych terminach; ale wszystko to nie daje jeszcze rozwiązania, któreby już było faktem spełnionym w myśl zwyczajów międzynarodowych.

„Nowik,“ doścignięty na t. zw. posterunku korsakowskim d. 20 lub 21 z. m., po zbombardowaniu przez okręt japoński, opuszczony przez załogę, zatonął.

„Diana“ ciągle jeszcze w Saigonie.

Anglicy wysłali aż z trzech punktów okręty swoje dla odszukania „Petersburga“ i „Smoleńska,“ które zniknęły z m. Czerwonego, a według domysłów znajdują się na oceanie Indyjskim. Zobowiązanie się względem Anglii nie pozwala ich używać do rewidowania statków handlowych. Gubernator Malty zabronił zaopatrywać w węgiel te okręty stron wojujących, które w całych eskadrach płyną na widownię wojny, albo też wyruszają na połów statków handlowych, neutralnych.

Dzienniki niemieckie zajęte są zbijaniem wiadomości o jakiejś tajemnej umowie Niemiec z Anglią.

Na półwyspie Bałkańskim zaczyna się taniec — o trzy mile od Saloniki. Były też utarczki na samem pograniczu bulgarskiem. Sułtan wciąż opiera się pomnożeniu liczby żandarmów europejskich w Macedonii. — Zmarł strącony w r. 1876 po trzymiesięcznem panowaniu sułtan Murad. — W Armenii, ok. Bitlisu powstanie narodowe pod Andronikiem szerzy się — jeśli Turcy i Kurdowie w pień nie wycięli i powstańców i ludności, od czasu ostatnich depesz.

Koronacya króla Piotra odbędzie się d. 31 b. m.

W pałacu dano mieszkanie oficerom żonatym, więc panowała tu ta atmosfera zadomowienia, której nie posiadają podobno siedziby kawalerskie.

Zanim doszedłem do drzwi gmachu, usłyszałem goniące za mną kroki i, obejrzawszy się, zobaczyłem Fitz-Marnera, mego pierwszego zastępcę, o dwa lata młodszego ode mnie i powszechnie zwanego Fitzem. Był to jednak zupełnie inny człowiek i, jeśli wolno tak mówić, dużo lepszy ode mnie. Nie sądźcie jednak, że zamierzam zaprzątać waszą uwagę opowiadaniem o sobie. Kiedyindziej nie omieszkam tego uczynić, ale wtedy dam swój portret na okładce. Wszakże żyjemy w epoce portretów. Aż przyjdzie dzień, kiedy czytająca publiczność odtrąci dzieła gładko licych panów w okularach, którzy usiłują w nią wmówić, że są dzielni, nieulękli i mają wielkie szczęście do kobiet. Stoły księgarskie uginają się dziś pod ciężarem utworów, napisanych w pierwszej osobie liczby pojedynczej i opiewających czyny niezwykłej śmiałości. Na okładce widzimy zawsze portret autora: gładko-licego mężczyznę w okularach, któremu zabrakło rozumu, ażeby pozostać w cieniu.

Fitz był wysoki i gibki, wąs miał ciemny, miłe spojrzenie w myślących oczach i uśmiech pełen niezwykłej dobroci. Prócz tego nie znałem człowieka skromniejszego nad niego. Głowę trzymał tak jakoś spuszczoną, że kiedy chciał spojrzeć na kogo, wznosił oczy w sposób nadający jego twarzy przyjemny wyraz uwagi. Mnie się zawsze zdawało, że Fitz słuchał pilniej, niż inni tego, co się do niego mówiło.

— Doktorze — rzekł, spoglądając mi w oczy — dajcie mi skorzystać ze sposobności.

Rozumiałem go. Chciał być wysłany zamiast Thurkowa na śmierć niechybną. Te drobne zadania, których spełnienie nieraz życiem opłacić przychodzi, leżą w zakresie zwykłej doli żołnierskiej, a my obaj byliśmy żołnierzami, choć mieliśmy obowiązek nie psuć, lecz naprawiać. Każdy zaś żołnierz wie dobrze — a i nie żołnierz także — że czasem trzeba iść bez wahania, bez słowa protestu.

Fitz Marner powinien był zostać przy mnie; i lepszego nadeń nie mógłbym dostać człowieka, gdyż wolę miał żelazną i rękę pewną. Tymczasem jednak Capoo domagało się ratunku. My obaj, Fitz i ja, znaliśmy się lepiej z cholerą, niż to chcieliśmy przyznać. I wreszcie ktoś tam jechać musiał, aby walczyć bez nadziei zwycięstwa i umrzeć. A poczciwy Fitz prosił się o to...

— O, nie! jeśli to będzie zależało ode mnie — odpowiedziałem, śmiejąc się.— Na wojnie los wszystkich jednakowy.

Fitz szarpał wąsy i w zamyśleniu patrzył na mnie.

— Biedny stary, to będzie dla niego straszny cios! — rzekł.

— Zapewne. Żal mi brygadyera. Popełnił on wielki błąd, że syna wziął do swojej brygady, bo oto ma następstwa tego. Jakkolwiek dziś postąpi, za wszystko będzie sam odpowiadał, bo ja mu nie pomogę, nawet gdyby to o ciebie chodziło, nie ruszyłbym palcem, wiesz dobrze.

— O tak, wiem — odparł napół odwrócony, przyglądając się żółtemu księżycowi. I, nie dodawszy słowa, powrócił do izby oficerskiej.

Ja zaś wszedłem do pałacu. Ażeby się dostać do mieszkania dowódcy, trzeba było przejść budynek w całej jego długości. W jednym z korytarzów zastałem Elsie Matheson, czekającą na mnie. Nie zdziwiło mię to. Wiedziałem bowiem, że ona wcześniej, czy później, musi się wmieszać do tej sprawy, nie wiedziałem tylko, w jakim charakterze to zrobi.

— Co to za wiadomość z Capoo? — zapytała, nie usiłując ukryć niepokoju. Jej ojciec nie znajdował się ani w samem Capoo, ani w jego okolicach. Był na górze i grał w karty.

— Złe! — odparłem.

Drgnęła, ale nie zbladła. Kobiety i konie zawsze mię zdumiewają, a najwięcej

Niemcy robią ze swych okrętów pomiary głębokości w Skaldzie. W Antwerpii strach na myśl choćby najpóźniejszego zawitania flagi pruskiej na ojczyste wody Flamandów.

Reichsanzeiger ogłosił d. 26 z. m. nowe prawo o osadnictwie w Prusach.

W. Ks. Poznańskiemu przybył jeszcze jeden zdrajca.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

Wydostajemy się na wyborny, szeroki gościniec, najlepszą drogę, jaką widziałem dotychczas w Korei. W wielu miejscach ocieniają go szpalery pięknych, rozłożystych kasztanów, dębów, ilm. Pierwsze są jeszcze w pełni zieleni, ilmy już zupełnie straciły liście. Obszerne pola ryżowe w znacznej części zalane są wodą, ale za to nie ma jej prawie w rzeczułkach. Ledwie się sączy, nie stać jej nawet pewnie na obracanie tłuczek ryżowych, gdyż coraz częściej widzę kobiety depczące pedały, niezgrabnych, domowych krupiarni. Zbliżamy się do Sam-kgyk-sania — wieńczą ją trzy potężne, jak wieżyce ostre szczyty, od których wzięła swą nazwę. *) Słońce chowa się właśnie za nimi i złocisto-różowa dolina, z szmaragdowemi plamami gajów, blednie nagle. Droga wije się pod samą górę, okrąża ją... Po drugiej stronie doliny widać podobne, wietrzejące, siwe granity, jeszcze złote od bijących górą promieni słońca.. Okrążamy Sam-kgyk-sań i wstępujemy w zacieniony wąwóz, pełen spływających z gór skalnych piargów, piasków i namułów. Prawdziwe, kamienne, białe wietrzelisko, kocieł, skąd wody wiosenne roznoszą daleko po okolicy bielące ją prochy. Szeroka droga niknie miejscami pod zwałami osypisk. Konie brną po pęciny. Mijamy zmęczonego tragarza, który wyciągnął się u drogi i z trudem wdycha powietrze, obok stoją na podpórkach ciężkie nosze. W wąwozie zmrok przejrzysty i chłód. Niema tu nic: ani pól, ani chat, ani krzewów, nawet zioła, trawy nigdzie nie widać, widocznie nic się nie ostoi na tych potokach białych, ruchomych piachów. Ale cokolwiek dalej, gdzie jest nadzieja je wstrzymać, już dostrzegam małe pola ryżowe ogrodzone płotami z wikliny. Za chwilę jesteśmy u wylotu i znowu przed nami obszerna, brudna płaszczyzna, pokrajana połyskującemi polami ryżowemi, ciemnemi rolami, zieleniejącą w bruzdach oziminą. Okalają ją te same szczerbate wiszary granitów, biało-złote w pobliżu, biało-błękitne w oddali... Nad nimi wiszą białe, skłębione obłoki i czeredy białych ludzi dążą ku nim po białej drodze. Zieleń nielicznych gajów wydaje się czarną i niknie w białych tumanach. Doprawdy to jakaś bajeczna kraina „Białego Snu“ oblana kredowo-mglistem słońcem. Podróż przeciągnęła się i część drogi odbyliśmy przy nikłym blasku młodego miesiąca. Gościniec wyludnił się, kopyta koni samotnie wydzwaniały wątłego marsza na ubitej ziemi. Wielkie, połamane cienie gór i skał, drobne, czochrate cienie gajów, zmieszane z płytkiemi zygzakami podcieni grobli ryżowych, odbitych w lśniących czarnosrebrnych wodach, na tle białych płaszczyzn i wzgórz tworzyły mozajkę niedościgłej fantastyczności. A bliżej i dalej z mroku nocy wysuwały się mleczne, od blasku miesięcznego niewyraźne, niby w powietrzu zawisłe opoki, pojedyńcze urwiska lub całe zwarte ich szeregi...

Zanocowaliśmy we wsi Pisangori o 50 „li“ od Seulu. Jutro będziemy w stolicy.

30 października.

W tej wiosce co dom, to oberża i wszystkie wydały mi się pełne. Rano — wrzawa: podróżnemu, w domu naprzeciwko ukradli w nocy złodzieje 2,000 phun (4 ruble). Strwożony ton-sa wciąż ogląda nasze pakunki. Chłopak, który nam usługiwał, bardzo się do mnie zalecał, czyścił mi nieproszony ubranie, raz wraz zapytywał, czy czego nie potrzebuję; pierwszy to raz w całej tej drodze spotkałem się z taką nieprzyjemną natarczywością, gdyż Koreyczycy na ogół są uprzejmi i gościnni, ale bez służalstwa. Przed wyjazdem chłopak upomniał się o naddatek. Był to jedyny napiwek, jaki dałem w Korei, gdzie wcale nie znają tego zwyczaju. Tutaj widocznie już dotarli Europejczycy i według swej modły przeistoczyli grzeczność i usłużność w towar sprzedajny.

Dzień zapowiadał się gorący. Słońce lało potoki światła na szeroką, gładką, jak kreda, białą drogę, na bielejące wdali skały, na łyse pagórki i kraty niezliczonych grobli, wśród pól ryżowych. Wszędzie błyszczała woda. Aż oczy bolały od tej białości i blasku. Na domiar wiatr podnosił obłoki kurzu. Przydrożne drzewa osędziały odeń, jak od szronu. Co parę wiorst — wioski. Mrowie ludzi idzie drogą i tłum ten coraz wzrasta. Jadą i wiozą towary na koniach, wołach, osłach, ale najwięcej niosą je na sobie. Kobiety na głowach ogromne dzbany i dzieże gliniane z ziarnem lub płynem, kosze z owocami, węzły odzieży, pakuł, waty; mężczyźni dźwigają na plecach wiązki chróstu snopy, sprzęty rozmaite, wreszcie ciężkie wory ryżu, dochodzące do 100 funtów wagi... Tragarze zawodowi, idą długimi szeregami, jeden za drugim, ciężko postękując. Nogi ich grzęzną głęboko w piasku lub biją mocno o twardą drogę... Nigdy nie mogłem bez głębokiego wzruszenia słuchać tych jęków... Raz, pamiętam, wieczorem dochodził taki sznur tragarzy do wioski, gdzie widocznie miał wypoczywać... Jeden z nich, słabszy, został daleko w tyle, czekali nań towarzysze, porzuciwszy swe nosze, nawet niektórzy wracali, aby go głosem i radami zachęcić. Młody, nieszczęśliwy chłopak miał twarz skamieniałą od cierpienia i siną od wysiłku, krwią nabiegłe jego oczy patrzyły z jakąś rozpaczą na odległą jeszcze wioskę...

Dużo wsi, dużo lasków sosnowych, dużo pięknych mogił. Droga ubita, jak szosa, pięknie utrzymana i okopana rowami. Mijamy wspaniałą świątynię, otoczoną białym murem i wielką ilością mogił. Dużo wolnych koni wraca z Seulu. Wśród przechodniów często zdarzają się żołnierze, parę razy widziałem nawet policyanta. Wysokie akwaduki, miejscami sypane z ziemi, miejscami drewniane, odprowadzają wodę na pola... Wszędzie ona bulkocze i pluska, a mimo to kraj wydaje się spalonym i spękanym od suszy. Czarujące wrażenie sprawiają kawałki drogi, wysadzone szpalerami starych drzew. — Zjawiają się oddzielne, bogate folwarczki, dwory kryte dachówką, otoczone pięknymi sadami, z ładnemi zabudowaniami gospodarskiemi, cze-

*) Sam — trzy, kgyk — wysoki, sań — góra. (Na mapach i książkach europejskich używają niewłaściwej pisowni Sam-gak-sań).

---

w chwili niebezpieczeństwa. Elsie Matheson nie miała jednak w sobie nic męzkiego, bobym nawet nie wspomniał o niej.

— Co to za choroba?— pytała dalej.

— Nie umiem powiedzieć dokładnie. Dostałem długi list od Simpsona, ale nic z niego nie mogę wywnioskować. Opisuje objawy zupełnie nieprawdopodobne, zamądre dla mnie.

— Pan jesteś przekonany, że to cholera? — przerwała mi, a dźwięk jej głosu dotknął mię przykro; bo lubiłem dziewczynę.

— Być może — odpowiedziałem.

Zrobiła taki ruch, jak gdyby się na czemś oprzeć chciała.

— A kto pojedzie? pytała, wpatrując się bystro we mnie.

— To nie ode mnie zależy.

— A gdyby zależało?

— Pojechałbym sam.

Twarz jej rozjaśniła się nagle. To jej na myśl nie przyszło. Ale nie czułem się dotknięty. Nie wyobrażałem sobie, żeby mnie kochać miała.

— Ależ tu bez pana obyć się nie mogą? — wyrzekła, zdobywając się na uprzejmość.

— Można zawsze obyć się bez każdego — odparłem. Nie w tem rzecz jednak. Tu rozstrzyga prawo zwyczaju. Jeden z tamtych jechać musi.

— Który? — zapytała z nagle przybraną obojętnością.

samo pytanie miałem w myśli, lecz odnosiło się do czegoś innego. Który z nich pojechałby do Capoo, gdyby decydowała miss Matheson? Wzrok mój musiał być bardzo badawczy, gdyż odwróciła się nagle, szczelnie zaciągając gazową narzutkę pod szyją, gdyż wieczór był chłodny.

— To nie ode mnie zależy — powtórzyłem i zwróciłem się w kierunku mieszkania brygadyera, zostawiając ją w słabo oświetlonym korytarzu.

Zastałem naczelnika przy obiedzie, przed nietkniętym kieliszkiem wina.

— Zła sprawa — rzekł, spoglądając na mnie błędnemi oczami. Nigdy przedtem nie wydał mi się tak stary. Wąsy i broda zbielały mu już dawno, ale zawsze jeszcze był to dzielny mężczyzna — dobry żołnierz, choć wódz nieosobliwy. Naturze generała-brygadyera Thurkowa nieobca była pewna doza opieszałości, która odbiła się na całej karyerze i całem jego życiu. Jedno tylko niezmiennie pobudzało żywiej myśl jego i uczucie — gdy chodziło o jego syna Karola. Dobrze to świadczy o Karolu Thurkow, żeśmy go nie nauczyli się nienawidzieć za to.

Żona brygadyera umarła dawno. On zaś, niedość powiedzieć, kochał syna. Jego miłość dla tego dziecka była w rodzaju tych, które nie cofają się przed niczem. Miłość czasem stwarza cuda, ale ta sama miłość z uczciwego człowieka może też zrobić nikczemnika.

Popatrzyłem na starego Thurkowa, siedzącego ze zbielałemi ustami przed pełnym kieliszkiem wina i wiedziałem, że podłość wślizgnęła się do tej prawej, uczciwej duszy. Unikał mego wzroku, kręcił się niespokojnie na krześle. Przez całe życie zachował w nieskazitelności najpiękniejsze miano, jakie można dać człowiekowi — dżentelmana. Serce odważne, wódz, któremu pomimo niewielkich zdolności można było powierzyć honor kraju, prawy, uczciwy — i oto na co mu przyszło. Przede mną prostym, nieznanym, nie śmiał oczu podnieść.

Obowiązek jego był jasno wytknięty. Karol Thurkow powinien był jechać do Capoo. Lecz ten człowiek, który nigdy nie uciekał przed niebezpieczeństwem — teraz nie miał siły wydać tego rozkazu.

* * *

go dotychczas nie widziałem wcale. Płaska przełęcz. Ma-phu wskazuje mi dymy, wijące się za białemi górami, i mówi, że to Seul. Tłum przechodniów wzrasta. Przejechali jacyś dygnitarze ubrani w jedwabie. Przed nimi biegli laufrzy. Dużo lektyk, w nich nie same już kobiety, często dostrzegam obrzękłą twarz korejskiego urzędnika lub okulary modnisia. Niektórzy jadą na osłach... Gwar, śmiech... Przechodnie zamieniają z sobą żarty, wypytują o coś ton-sę, który, staranniej ubrany, zachowuje wyniosłe milczenie. Boli go noga, starł ją sobie, między palcami porobiły mu się wrzody... Daremnie moczył ją codzień na noclegach w gorącej wodzie i smarował, wziętą u mnie, wazeliną, rany zwiększały się, ból wzrastał, twarz mu chudła i czerniała, z utęsknieniem wyglądał końca podróży, ale nie skarżył się i nie zaniedbywał swych obowiązków...

Mijamy śliczny kanał wartko płynącej wody, obsadzony z obu stron pysznymi kasztanami. W wioskach, na ulicach przekupnie sprzedają pieczone kasztany, całą garść można dostać za grosz; równie tanie są wyborne „kaki“ korejskie, kupiłem kilka i podzieliłem się nimi z ma-phu i ton-są. Ton-sa odwdzięczył mi się i w następnej wiosce, jak każe przyzwoitość, kupił kasztanów... Widzę pewną tkliwość w jego obejściu się ze mną, jakąś dyskretną uprzejmość... Choć chroma, stara się iść w pobliżu mego konia i nieproszony daje objaśnienia, wskazując na ciekawe przedmioty... Czyżby miał zamiar prosić mię o napiwek?

Białe góry, biała droga, białe tłumy ludzi, białe chmury na niebie i tumany białego kurzu w powietrzu. Głazy ogromne u gościńca, który przegradza wysoki cypel górski. Wdzieramy się na ten cypel po stromej drodze, przerąbanej wśród opok. Malownicza, skalista kotlina, otoczona skołubiastymi urwiskami. Na samej przełęczy wąwóz, na którego ścianach widnieją wielkie napisy chińskie; stoi tam zwykły ołtarz z kamieni, koło niego wiszą szmatki ofiarne i sznureczki, poniżej, na złomach tulą się liche chałupki, ubogie sklepiki i straganiki z owocami, z jadłem, z drobiazgami.. To już przedmieścia. Spuszczamy się na dół po równie stromej pochyłości, potem jedziemy długo ujeżdżoną, wyborną drogą wśród pól uprawnych i rozrzuconych domków ku ciemnej przełęczy. Szczytem gór okolicznych wije się szara, zębata ściana i wielki otwór miejskiej bramy czernieje wysoko wśród skalnych garbów, pod wyniosłym dachem chińskim.

— Seul!.. Ohan-siöu! *) — woła wesoło ma-phu.

Tłum przechodniów zmienia się poprostu w ciżbę; widzę już tylko potok czarnych „kat,“ wielkich, jak koszyki, żałobnych kapeluszy, kolorowych, żeńskich narzutek, białych chust, garbów i węzłów, lub wielkich noszy, poważnie kołyszących się w tłumie, jak słonie. Wzdłuż drogi u domów stragany, u drzwi, co krok nieledwie wysokie tyczki z wiechą lub starym, dnem do góry wywróconym, okrągłym, długim koszykiem — znak, że tu można wypocząć i pokrzepić się „su-li“ (wódką ryżową).

Nareszcie jesteśmy u ostatniej przełęczy i drapiemy się wraz z tłumem ku ciemnym, jak pieczara i jak pieczara głębokim wrotom. Potężny, ale porządnie już nadpsuty, mur biegnie grzebieniem okolicznych wyniosłości. I mur i brama zwykłej architektury chińskiej, budowane z niepalonej cegły i poszyte granitem. Bramę bardzo pięknie zdobią gęste, poczerwieniałe powoje. Za bramą szare, płaskie, zakurzone miasto, okolone bladymi, zębatymi wierzchołkami.

Długo jechaliśmy po ulicach, rojących się białym, ruchliwym tłumem chłopów, przekupniów, obładowanych chróstem i wazrywem wołów, stękających pod noszami tragarzy, żołnierzy, jeźdźców w jedwabiach i jeźdźców w skromnych perkalach, kobiet zakwefionych i kobiet bez zasłon, dość brzydkich i starych, aby twarz swą mogły bez lęku pokazać, brudnych, półnagich dzieci, wyrostków uczniów w rogatych beretach... Wreszcie wydostaliśmy się na główną ulicę. Dostrzegłem w oddali jakąś basztę czerwoną, śpiczastą, szarą wieżycę kościoła katolickiego i... tramwaj elektryczny. Miasto szare, brzydkie i brudne zagrało weselszemi barwami. W sklepach czyściej i ładniej, a na ulicach jeszcze rojniej..

Aby dostać się do poleconego mi hotelu „Imperial,“ musieliśmy przebyć całe miasto. Wreszcie wśród tłumu gapiów stanęliśmy na małym placyku, przed główną bramą cesarskiego pałacu, gdzie mieszczą się na rogu dwa najlepsze hotele europejskie.

Monsieur Moulis, który był długo kucharzem we Władywostoku, powitał mię łamaną ruszczyzną...

— Dam panu taki pokój, z którego wciąż pan będzie widział cesarza!..

— Owszem... A czy będę mógł się wykąpać?.

— Dlaczego nie... To jest dobrze, ale moja łazienka będzie, ale nie jest, więc może pan pójdzie do łaźni, do japońskiego... quartier...

Kręcił się po pokoju i gadał, gadał bez końca...

— Pan pewnie pójdzie zaraz do ministra?.. To stąd niedaleko!.. Właśnie pani ministrowa była przed chwilą... O ja ich wszystkie dobrze znac... ami!.. Wciąż im coś pickę... Wczoraj zrobiłem majonez!.. Pani ministrowa mówi: monsieur Moulis... Pan poseł też przychodzi i pan pułkownik, ja im zawsze opowiadam, co usłyszę w mieście na targu albo w moim zakładzie. Chodzą... O monsier Moulis dużo wie!.. A pan słyszał, nasza marynarz w Czemulpo bardzo głowę Japończykom porozbijał... Dzielna marynarz, ich było dwudziestu, a Japończyka parę sto... Nasza zuch... zawsze bije dobrze!.. O ja znać ich!.. Nasza bije dobrze... Japończyk hołota!.. Phi!.. Będzie wojna!.. Japończyk weźmie w skórę!.. Nasza bardzo dobrze bije, nasza...

Mrugał okiem, strzepywał palcami i korzystając z aliansu, przyswajał sobie zasługi i cnoty obu narodowości.

Zmęczony ton-sa czekał cierpliwie zapłaty, ma-phu stał w korytarzu.

— Siadaj, siadaj, towarzyszu!.. — zwróciłem się do ton-sy.

Monsieur Moulis spojrzał na mnie zdziwiony.

— To panski tłomacz? On też może zostać u mnie... może mieszkać z moimi „boy.“

Z trudnością dałem nareszcie poznać panu Moulis, że życzyłbym sobie pozostać sam z mymi ludźmi.

Rachunek z ma-phu nie zajął długiego czasu, ale gdym ton-sa podał całą kwotę pieniędzy bez potrącenia pobranego już zadatku, zwrócił mi resztę, mówiąc, żem się omylił.

— Widzisz, towarzyszu, noga cię boli, zraniłeś ją sobie z mego powodu, pewnie będziesz musiał zabawić dni parę w Seulu, aby ją wyleczyć...

— O, nie! Jutro zaraz ruszę z powrotem. Tam czekają na mnie... Ale dziękuję panu; skoro znajdujesz, że zarobiłem te pieniądze, to je wezmę... Więc jesteś ze mnie zadowolony?..

— Owszem, jestem zadowolony... Zapewne byłoby lepiej, gdybyś umiał więcej po angielsku...

— Bardzobym chciał się nauczyć, ale niema od kogo.

Ani myślał odchodzić. Usiadł na ziemi i choć umilkł, gdyż monsieur znowu się we drzwiach ukazał, ale miłym, przywiązanym wzrokiem wciąż śledził za mną.

— Jesteś dobry, sir! — powiedział cicho, gdy mi udało się wreszcie znowu wyprawić Francuza.

— Już pójdę!.. Good bye!..

— Good bye!..

Uścisnęliśmy się za ręce. Stał chwilkę z opuszczoną głową, ruszył ustami, lecz widać nie znalazł odpowiednich wyrazów angielskich. Więc tylko ujął mię raz jeszcze niezgrabnie za rękę.

— Good bye! Good bye!

W. Sieroszewski.

*) Albo Ohań-jan — warownia rzeki Hań.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIECZNIE TO SAMO.

Odpoczynek letni już się kończy. [illegible] z miasta powracają, „pokrzepieni na zdrowiu i z odzyskaną równowagą ducha,“ mówiąc językiem naszych kochanych reporterów. Znowu rozpocznie się ta sama historya. Pisma poważne zaczną zamieszczać różne artykuły w kwestyach palących, ludzie będą wysilać mózgi nad tem, jak trafić do śpiących wygodną drzemką. I znowu rozpocznie się nadszarpywanie sobie płuc w usiłowaniu, aby głos doszedł do głuchych i aby przerwać apatyę oraz letarg. Znowu rozpoczną się zapasy jednostek z stugłową hydrą drzemiącej masy, która jedna ma tylko odpowiedź dla tych, co piszą: „Piszcie, piszcie, za to się wam płaci; a zresztą wiemy dobrze, co sądzić o waszem krwawieniu się papierowem, o waszych zapałach, gniewach, rozpaczach — bibułowych.“ Znowu rozpocznie się rzucanie w bezdenną przepaść, znowu krzyku i wołania prawie nikt nie usłyszy. A kto usłyszy ten będzie mu się opędzał jak musze natarczywej... i pójdzie dalej drogą, wskazaną przez tradycyę.

Ci, którzy czują, że mają coś do powiedzenia, dla których walka, co nie kończy się zwycięztwem, nie może zaniknąć, ci będą tłuc dalej głową o ścianę. Cóż, że oprócz siniców i napływu krwi do głowy, niczego się nie doczekają, wszak walka jest ich sportem, prawda panowie, t. zw. „sceptycy,“ z uśmiechem ironii-wyższości patrzący na próby zmagania się z ohydą życia powszedniego? Boć to „życie powszednie“ to największy wróg tych, którzy chcą słowem przemawiać i budzić w śpiących uczucie wstrętu do drzemki a tęsknoty za zorzą, za świtem serc i umysłów. Ono, to „życie powszednie,“ rodzi doświadczenie, a doświadczenie to wielki mistrz współczesny.

Doświadczenie mówi, że zadrukowano już tysiące arkuszy różnemi tyradami, a świat drepcze własną drogą i nikt nie może dreptania tego przyspieszyć. Doświadczenie uczy: żebyś nie wiem jak ochrypł, głos twój prawie nic nie znaczy, bo zawsze pozostaniesz jednostką, a tłum ma swe własne drogi.

Czyż więc wszelkie zmaganie się z powolnem, „kropłowatem“ dreptaniem tłumu nie jest tylko donkiszoteryą lub, co jeszcze okropniejsze — pozą?

Zazwyczaj w walce wszelką winę składa się na przeciwnika — i słusznie; bez tego straciłaby ona na sprężystości. W tej kwestyi jednak niezupełnie trafnie wskazuje się zwykle przeciwnika. Nie jest nim tłum; tu walczą raczej dwie potęgi: przejawiające się w jednostkach nielicznych dążenie w przyszłość i odporność całości

na wszystko, co stoi w przeciwieństwie do teraźniejszości; odporność na to, co może wyprowadzić ze stanu równowagi, zadawalającej wszystkich, a przeto podnoszącej do wysokości dogmatu najprzeciętniejsze, najbanalniejsze właściwości ogólne. Z jednej więc strony mamy jednostkę silną tylko intensywnem nagromadzeniem energii życiowej tak w formie rozwoju umysłowego, jak tęsknoty uczuciowej; z drugiej— zbiór półjednostek, tj. tych, którzy już zupełnie są wyrównani pod jeden sznur banalnej teraźniejszości, lub nie mają siły porzucić szablonu myśli i czynu, choć czują niesmak i gorycz, albo też wreszcie dochodzą dopiero do świadomości swego człowieczeństwa. Walka nierówna, utrudniona różnemi komplikacyami, płynącemi po części z pośród samych piszących.

Znane są stałe objawy walki na naszym gruncie: apatya powszechna, a co za tem idzie brak uzdolnienia w kierunku głębszego reagowania na życie, oryentowania się w zdarzeniach dnia, i dalsza konsekwencya — ogólna niemoc, wobec której wszelkie poczynania jednostkowe są nawet zjawiskiem dziwnem i wielce do całości nieprzystającem.

Była chwila łudzącej nadziei. Zdawało się dostrzegać pewne poruszenie umysłów, żywsze spoglądanie na siebie i na życie, pewne zastanowienie. Lecz chwila minęła, i to, co się wydawało ocknieniem ducha, było tylko podrażnioną ciekawością — nic więcej.

O tem wszystkiem już nieraz miałem sposobność pisać. Dzisiaj napomykam tylko dla ciągłości myśli; idzie mi zaś o komplikacye, wytwarzane przez samych piszących.

I oni nie stoją po za całością. Nie są kastą kapłańską, któraby oddychała innem powietrzem, czerpała soki żywotne z innego gruntu. Są dziećmi ogółu, podległemi wspólnym z nim wpływom i wahaniom.

Mści się na nich przedewszystkiem ogólne tło życia społecznego. Mści się okrutnie, bo wyrywa im z ręki broń, czyni ich słabszymi, zmusza do patrzenia, jak najognistsze, najpiękniejsze przemowy, najwznioślejsze hasła prawie nie znajdują posłuchu, milkną bez echa.

Atmosfera ogólna przesiąkła cała fałszem, obłudą, kłamstwem, pozą i nieszczerością. Żyjąc stale wśród tego stajemy się nieufni i niedowierzający. Poprostu nie wierzymy, aby ktoś mógł mówić szczerze. Wreszcie — w sztuce — no to jeszcze, lecz w bezpośredniem zetknięciu z wszelkę różnorodnością szarego życia, co tworzy publicystykę?

Czy tylko tło ogólne rodzi niedowierzanie? Niezupełnie. Sami piszący czynią to skwapliwiej od innych. Budzenie sceptycyzmu, ostrożności myślowej, krytycznego patrzenia na świat, budzenie tego rodzaju niedowierzania to szczytna misya, to wielka zasługa. Lecz to niestety — zjawisko rzadkie. Czy wielu jest między piszącymi takich, co mają istotnie coś do powiedzenia? Czy wielu, oparłszy się na, własnym trudem zdobytym i szerokim poglądzie na życiu, jego właściwościach i potrzebach, pełni z szczerym zapałem czyn — służbę słowa?

Większość nie posiada sił własnych, zapożycza się, gdzie tylko można, nie ma własnej myśli i wybiera to, co najprzeciętniejsze, ubiega się za poczytnością, pochlebia, gładzi, unika słów ostrzejszych, podchwytuje najpopularniejsze ogólniki i sypie frazesami, niekiedy nawet szczerze przejmując się swą rolą. Wskutek tego często dziś chwalą to, co jutro będą ganić. A to nie może budzić zaufania do słowa drukowanego. Deklamacya społecznikowska stała się dzisiaj modą zaraźliwą; każdy prawi, naucza, gromi, lecz po za tem panuje wielka szarzyzna, niesłychana płytkość myśli i absolutny brak dalej sięgającej idei.

Odczuwalność ogółu, do którego u nas tylko przez czasopisma przemawiać można, wskutek tego przytępiła się niezmiernie. Bawi ich jeszcze tylko czasem dziennik-tygodnik. Gdybyż choć ogół nasz umiał nienawidzieć, nie, on obojętny, przyjmuje wszystko na zimno —i śpi. i śpi.

Aż ci, co budzić chcieli, słabną na siłach, zużywają się, milkną i powoli zatracają wrażliwość na życie. Często dochodzi do tego, że w chwili krytycznej, gdy jednostki szerszego ogółu zwrócą się do przewodników słowa z zapytaniem, jak się oryentować i czego oczekiwać, oni z zakłopotaniem odpowiadają: nie wiemy! Nieliczni żyją życiem duchowem, czytają, myślą; lecz z tego mało przechodzi w stały ruch umysłowy.

Czy wszystko to jest znakiem, że trzeba pióra połamać i ustąpić miejsca — reporterom?

Nie. Należy podwoić, potroić czynność, aby niszczyć wszelkie pojawiające się przegrody, budzące nieufność i niewiarę. Należy, biorąc za hasło: pogłębienie umysłowości, zmuszać do wycofania się z szeregu, piszących o kwestyach ważnych, tych wszystkich, co nie umieją mówić a tylko gadają, i tych, co słodkawo-czczą gadaniną osłabiają doniosłość słowa drukowanego.

Broni nie należy składać. Zwątpienie — to osłabienie ducha; cofanie się zaś w głąb własnej myśli wzbogaca jednostkę i daje jej wciąż nowe siły, wciąż nową rzeźwość. Nie można więc też zapominać i obowiązkach względem samego siebie, lecz na nich budować swój czyn.

Położenie jest niezmiernie trudne i często rozpaczliwe. Tem większego wymaga natężenia i tem większej powagi w pracy. Ma ono pewną, dobrą stronę. Tylko silni duchem, tylko istotnie mający oparcie w własnej treści, posiadacze wielkiego ideału, zrodzonego zbólu i trudu, rwącego się w górę ducha, przetrwają i pozostaną przy standarze służby słowa. Inni znajdą z czasem zyskowniejsze zajęcie i — zamilkną. *br.*

Przeciw prostytucyi.

(Dokończenie).

Dr. A. Herzen: [1]) „Widzimy w kobiecie nie istotę nam równą, lecz narzędzie naszych rozkoszy. Uniewinniamy młodzieńca, który miał utrzymanki, który odwiedzał prostytutki, „to się samo przez się rozumie, to jest całkiem naturalne"! Ale dziewczyna, która upadła jeden jedyny raz pod naciskiem okoliczności, którym nie potrafiła się oprzeć, w które została wpędzona przez kłamstwo i oszukaństwo, przez oświadczenia miłości nieistniejącej, przez uroczyste i wciąż ponawiane obietnice małżeństwa, których się nie dotrzymuje, taka dziewczyna jest zbezczeszczoną, porzuconą, odepchniętą i skazaną na pogardę."

Dr. Hoffel-B.: [2]) „Od siostry wymaga brat niewinności, ale on sam uważa prostytucyę za swój przywilej całkiem naturalny i po latach życia nierządnego niewinność stawia dziewczynie za warunek wejścia z nim w związki małżeńskie.

Wielkiem jest zło płynące z nierządu, ale wielkimi też są środki, któremi je zwalczyć można, są nimi wychowanie, hygiena, religia, które powinny złączyć swe dążenia ku umoralnieniu społeczeństwa."

S. Keller: [3]) „Najsilniejszą sprężyną tajemną, główną przyczyną rozpowszechniania się nierządu w naszych czasach są zapatrywania społeczeństwa, najtrudniej je zwalczać, chociaż polegają one na przesądach całkiem bezpodstawnych. Przesądy te opierają się na uznawaniu innej moralności dla mężczyzny a innej dla kobiety na tem wierzeniu, że czystość płciowa szkodzi mężczyźnie, że prawo natury wymaga od niego zadowolenia żądzy płciowej. Ależ człowiek pod tym względem podlega tymże samym prawom, co zwierzęta. One żyją lata całe bez stosunków płciowych, czas równający się dziesięcioleciu życia ludzkiego. U zwierząt niema prostytucyi.

Wielu uczonych i znakomitych ludzi zwierzało się swym przyjaciołom, że dłuższa wstrzemięźliwość płciowa usposabiała ich mózg i nerwy do większego wytężenia w pracy."

Prof. Wyss: [1]) „Powiadają, że młodzieniec wstrzymujący się od stosunków płciowych staje się niby szalonym, a więc chorym nerwowo i psychicznie. Rzeczywistość wskazuje całkiem co innego. Takie szaleństwo lub choroby, wynikające ze wstrzemięźliwości są całkiem nieznane lekarzom."

Prof. Eulenburg, zarówno jak dr. Körnig w książce „Hygiena niewinności płciowej" stwierdzają, że czystość nie szkodzi zdrowiu.

Prof. Heim: [2]) „Przyroda dała życie płciowe nie dla rozkoszy, lecz dla wytwarzania potomstwa i dla pielęgnowania go. Panowanie nad swym popędem płciowym powinno stać się drugą naturą naszą, instynktem silnym i pewnym. Czystość i zadowolenie popędu tylko w stałej miłości jest instynktem od natury danym, który powinniśmy żywić i podtrzymywać. Pamiętajmy o tem, że popęd płciowy służy tylko do wytwarzania potomstwa."

Dr. Struck: „Wstrzemięźliwość płciowa nie prowadzi do chorób nerwowych i nie sprowadza psychozy. Chorzy zaś na zbytnią pobudliwość płciową mówili mi zwykle, że stan ich znacznie się pogarszał po każdym stosunku z kobietą. Nie zadawalnia ich to, ale są jeszcze bardziej podnieceni. Natomiast mówili, ze najlepiej się czuli, zachowując wstrzemięźliwość. Cierpiącym na zbytnią pobudliwość płciową doradzać stosunki płciowe jest to samo, co pijakowi radzić, aby się upijał."

Dr. Ziemsen: „Każdy lekarz, który radzi młodzieńcowi udawać się do prostytutek, popełnia potępienia godną zbrodnię."

Dr. Breuning: „Jako psychiatra i lekarz nigdym się nie przekonał, aby stosunki płciowe były dla kogoś konieczne."

Prof. Dagonet: „Całkowita wstrzemięźliwość płciowa może wejść w przyzwyczajenie i być bardzo dobrze znoszoną."

Dr. Schüler: „Z mojej 30-letniej praktyki i obserwacyi w szpitalu obłąkanych nie znam ani jednego wypadku, w którym choroba miałaby jakiś związek ze wstrzemięźliwością płciową."

Dr. A. Herzen: [3]) „Wstrzemięźliwość płciowa jest możliwą, jeżeli się chce wytrwać i jeżeli się prowadzi życie hygieniczne."

Wydział lekarski uniwersytetu w Chrystyanii ogłosił następującą rezolucyę:

„Twierdzenie niektórych osób, powtarzane w czasopismach i na zebraniach publicznych, że życie czyste i moralne mogłoby być szkodliwem dla zdrowia, niema najmniejszej podstawy podług naszych spostrzeżeń, stwierdzonych jednozgodnie. Nigdy nie mogliśmy zauważyć jakichbądź cierpień, wynikających z życia całkowicie czystego i moralnego."

Krafft Ebing: [4]) „Ogromna ilość ludzi normalnego ustroju może powściągnąć swe

[1]) „Wissenschaft und Sittlichkeit." 1896.

[2]) Tamże.

[3]) „Naturtrieb und Sittlichkeit." 1903.

[1]) „Die Gefahren des ausserehelichen Geschlechtsverkehrs." 1901.

[2]) „Das Geschlechtsleben des Menschen. 1901.

[3]) Tamże.

[4]) „Psychopatia sexualis. — Ueber gesunde und kranke Nerven.

namiętności nie czując wskutek tej wstrzemięźliwości najmniejszych zaburzeń w zdrowiu." „Skłonność kobiet niezamężnych do histeryi nie pochodzi z braku zadowolenia płciowego, lecz bardziej z braku prawdziwego celu w życiu. Kobiety niezamężne, mające poważne zajęcie, które je pochłania, jak np. siostry miłosierdzia, bywają bardzo rzadko histeryczkami."

Dr. J. Paget: „Czystość płciowa nie przynosi szkody ani ciału, ani duszy."

Dr. P. Good: [1]) „W całej historyi medycyny, u wszystkich narodów nie znajdujemy ani jednej choroby, któraby wynikała z powstrzymywania się od stosunków płciowych. Z punktu widzenia hygieny istnieje ogromna różnica pomiędzy stosunkami płciowymi, rządzonymi przez stały popęd wzajemny, np. obojga małżonków, a stosunkiem okolicznościowym."

Prof. Forel: [2]) „Popęd płciowy niema innego celu, jak rozmnażanie gatunku. Prostytucya, hodująca i wzmagająca popęd płciowy sam dla siebie i działająca pod każdym względem przeciw rozmnażaniu gatunku, jest tem samem nienormalnością, obłędem. Smutny fakt, że kobieta używaną jest dla podrażnienia, jak mówią „zadowolenia" niezliczonej ilości mężczyzn, gdy sama nie czuje wcale miłości, nie jest normalnym aktem płciowym, lecz czemś podobnem raczej do onanizmu."

Pomiędzy młodzieżą, uczęszczającą do domów rozpusty wytwarza się suggestya, że czystość jest niemożebną, że czysty młodzieniec nie jest „mężczyzną" itp. Faktem jest, że popęd płciowy wzmaga się przez użycie, nigdy natomiast nie widziałem psychozy, któraby powstała z czystości."

Prof. Lionel S. Beale: [3]) „Najsurowsza wstrzemięźliwość i czystość są całkiem zgodne z prawami fizyologicznemi i moralnemi, natomiast uleganie namiętnościom własnym nie jest usprawiedliwione ani z punktu widzenia fizyologicznego i fizycznego, ani z moralnego."

Prof. Ribbing: „Pomiędzy licznymi pacyentami i znajomymi, których o to pytałem, nie spotkałem ani jednego, któryby nie przyznał, że możliwą jest dla niego wstrzemięźliwość płciowa."

Cóż wynika z tych cytat, które możnaby mnożyć do objętości książki kilkutomowej? Twierdzenie pewne, jak postulat naukowy:

Czystość w stosunkach płciowych jest zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet możliwą i nieszkodliwą. Dorywcze stosunki płciowe są szkodliwe dla zdrowia. Stosunki płciowe mają na celu jedynie wytwarzanie potomstwa, są właściwe tylko przy dłuższem pożyciu wzajemnem, opartem na istotnej miłości i na życiu rodzinnem. W zdrowem społeczeństwie niema miejsca dla prostytucyi i dla nierządu.

A. Wróblewski.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Maniactwo.

P. Józef Kościelski nietylko cofnął się z drogi politycznej, po której sam szedł i swoje społeczeństwo chciał prowadzić ku doczesnej szczęśliwości, ale nawet rzucił na tę drogę parę ciężkich kamieni. Niestety, on także *revient toujours à ses premiers amours* bodaj w lekkich westchnieniach. Niedawno ogłosił w jednem z pism angielskich artykuł przeciw obecnemu „kursowi" względem Polaków, a gdy za to skarciła go *Nordd. Allg. Ztng*, rzekł w rozmowie ze współpracownikiem *Koln. Volkszeitung*: „Wynurzenia ministrów (pruskich) wywoływały tak często rumieńce zgrozy na mojej twarzy, iż bardzo słusznie dla odmiany tym razem mnie rozśmieszyły. Dawno już tak się nie ubawiłem. Gdybym posiadał, chociaż w przybliżeniu tylko, tak wielką *naiwność polityczną*, jak obecne ministeryum pruskie, to mógłbym wraz z niem przypuszczać, że słowa moje zdołają poważnie Niemcy z sąsiedniemi mocarstwami; ale wtedy nie byłbym napisał owego inkryminowanego ustępu. Walka bowiem odbyłaby się na polskiej skórze, a fakt ten stanowi dostateczny powód, azeby jej nie wywoływać. Szanowny pan pojąłeś, jak wszyscy rozsądni ludzie, zupełnie trafnie moje słowa: *nie mówiłem o rządzie oficyalnym*, lecz jedynie o szowinistycznym *rządzie pobocznym*, który wszakże wobec „niedomagania" ministeryum potrafi przeprowadzić najdziksze swe idee, jak o tem świadczy ostatnie prawo o osadnictwie."

Nam się zdaje, że zanim p. Kościelski zaprowadzi jakiś ład w polityce pruskiej, powinien przedewszystkiem zaprowadzić go w własnej głowie. Pozostaje on bowiem ciągle filozofem praktycznym, niezdolnym do ścisłego wyprowadzenia i związania trzech prawidłowych wniosków, a nadto fałszującym rzeczywistość dziecinnemi urojeniami. Chce on koniecznie w Prusach oddzielić i odróżnić cztery odmienne i do pewnego stopnia sprzeczne z sobą czynniki: źle informowanego monarchę, uwiedzionych ministrów, zduszony naród i sprawców tego wszystkiego — hakatystów. Nie przekonywa go logika, dowodząca, że gdyby ten naród i ministrowie nie odnajdywali w hakatyzmie swych idei i uczuć, to by mu nie ulegali, że ten pierwiastek nie jest ani wytworem sztucznym, ani z zewnątrz sprowadzonym, lecz naturalnym. Nie przekonywa p. Kościelskiego historya, która uczy, że hakatyzm narodził się od pierwszej chwili wcielenia dzielnic polskich do Prus i rozwijał się ciągle. Nie przekonywa go wreszcie własna jego wiara w to, że „obecny gabinet berliński nie myśli o zaprzestaniu swej *tradycyjnej* polityki." On ciągle, jak nieuleczalny maniak, mówi o „rządzie oficyalnym" i „rządzie pobocznym," wznosząc niebłagalne spojrzenia w stronę, skąd dotychczas otrzymywał tylko uderzenia szpicruty. Z takiem maniactwem liczyć się mogą poważnie tylko ci, którym na tem zależy, azeby chorego uleczyć. Dla nas jest to zupełnie obojętnem, odkąd wiemy, że p. Kościelski bałamuci tylko samego siebie i nikt za nim nie idzie

Dłużnicy kas studenckich

W medycynie socyologicznej opinia nasza jest prawie zawsze zwolenniczką chirurgii, a nie terapii. Jeśli wystąpi jakiś objaw chorobliwy, uważamy go za cierpienie miejscowe, radzimy wyciąć — innemi słowy — winowajców ukarać, a zdrowie zaraz powróci. Leczyć całego organizmu nie lubimy. Ot i teraz znowu pisma ogłaszają listę dłużników polskich kas studenckich za granicą, którzy pomimo świetnych nieraz stanowisk materyalnych nie chcą zwrócić drobnych pożyczek. Sędziom tego wiarołomstwa zdaje się, że ono wyrosło w gronie kilkudziesięciu młodych lekkomyślników i szachrajów, których potrzeba tylko napiętnować a sumienie społeczne będzie zadowolone. Tymczasem oni są krwią naszej krwi i kością naszej kości, w nich odbija się nasza natura, nasza tolerancya dla nierzetelności, a dowodem to, że polskie kasy studenckie za granicą mają najwięcej takich nieuczciwych dłużników. Nie igrajmy z moralnością, nie uważajmy jej za zrzędną tetryczkę, a nie będzie takich czarnych list.

Trzeci most.

Sporo u nas nadziei pokładano w rozpoczęciu robót przygotowawczych do budowy trzeciego mostu. Obecnie dopiero prasa zwróciła uwagę na pewien punkt umowy magistratu z przedsiębiorcą, który przyjęcie do pracy tutejszych robotników stawia w zależności od dobrej woli tego ostatniego. Powiedziano tam: „do robót ziemnych mają być użyte wyłącznie warszawskie siły robocze, o ile przedsiębiorca nie udowodni, że zastrzeżenie to naraża go na straty bezpośrednie, tj. że ceny miejscowych sił roboczych nie są wyższe od cen zamiejscowych." A więc ta umowa nie zasługuje na pochwały, jakiemi ją obdarzano. Punkt wyżej podany może posłużyć przedsiębiorcy do zmniejszenia stopy zarobkowej, bo ci, którzy nie mają zajęcia, warunków żadnych stawiać nie będą, a zawsze w oddalonych punktach kraju można znaleźć ceny niższe, niż w Warszawie, szczególniej przy obecnej drożyźnie. Umowa ta traci zupełnie swą wartość pod względem zapewnienia pracy potrzebującym jej. A przecież nie było niemożebne pomieszczenie warunku, że „przedsiębiorca obowiązany jest zatrudnić tylu i tylu ludzi za taką i taką płacę."

Czy nie zadużo pensyj żeńskich?

Obecnie pisma codzienne przepełnione są ogłoszeniami różnych zakładów naukowych dla kobiet. Fakt ten na pierwszy rzut oka powinien cieszyć, gdyż zwiększająca się ilość szkół, świadczy o wzroście oświaty. Tak by powinno być. Jeżeli jednak bliżej wejrzeć w stosunki, panujące w tych zakładach, to zdanie o znaczeniu ich dla kultury ogólnej podlegnie pewnej zmianie. Szkoła, aby odpowiedzieć swemu zadaniu, musi stać na wysokości wymagań pedagogiki; do tego potrzeba światłego i naukowego kierownictwa, dobrych i dobrze opłacanych nauczycieli oraz różnych środków pomocniczych. Zacznijmy od tych ostatnich. Lokal hygieniczny, wszelkie niezbędne przybory i materyały naukowe, kosztują sporo; dobry nauczyciel także.

Tymczasem zakłady naukowe prowadzone w celach niewyłącznie pedagogicznych muszą liczyć się ze stroną zarobkową. Nie zarzucam im bynajmniej uganiania się za spekulacyą, chęci nagłego wzbogacenia się, choć z drugiej strony nie zamykam oczu na to, że takie przełożone pensyi istnieją. Że kierowniczki nowopowstających zakładów liczą nieco na zyski, a nie wyłącznie myślą o szerzeniu oświaty, o tem świadczy choćby ten fakt, że zakładają średnie, dotąd najlepiej opłacające się szkoły. Przecież w Warszawie brak szkół początkowych i na tem polu pracy tyle jest do zrobienia, a tak mało jakichkolwiek usiłowań w tym celu.

Aby mieć zysk, przełożona musi przyjmować znaczną liczbę uczenic. Tymczasem naskutek nienormalnej konkurencyi zaledwie parę „renomowanych" pensyj posiada dostateczną ich ilość. Tu znowu zachodzi nowy fakt: w jednej klasie zasiada po 55 uczenic, a to nie wpływa ani na podniesienie stanu hygienicznego, ani na zwiększenie korzyści naukowej. W większości zakładów uczenic szczególnej w wyższych klasach jest mało, więc jeżeli się chce odpowiedzieć wyżej postawionym trzem wymaganiom, trzeba dokładać i to znaczne sumy. A osoby prowadzące chcą zarobić. Muszą więc zaniedbać jeden z tych trzech warunków. Pierwszy, jako osobisty, mało waży, chociaż i o tem śmiem powątpiewać, czy

[1]) Tamże.

[2]) „Zur Frage der staatlichen Regulierung der Prostitution." 1892.

[3]) „Our morality and the moral question." 1887.

wszystkie przełożone stoją na wysokości kultury umysłowej, wymaganej od przewodniczek i kierowniczek młodzieży.

Aby związać koniec z końcem trzeba skwitować z hygieny lokalu, z dostarczania środków pomocniczych; trzeba obniżyć płacę nauczycielom, a daleko częściej nauczycielkom. Ciekawe byłyby dane w tym względzie zebrane choćby drogą wywiadów między nauczycielkami. Płaca ich dochodzi do wyzysku. Prawda, kandydatek zawsze sporo, lecz to nie upoważnia do takiego korzystania z położenia.

Tam, gdzie istnienie szkoły opiera się na środkach, dostarczonych przez pewną grupę ludzi, jak np. szkoła handlowa dla chłopców, utrzymywana z funduszów kupców, tam rozwija się ona i może odpowiadać wymaganiom pedagogii, lecz pensye prywatne, wobec ich silnej konkurencyi między sobą, skazane są na wegetacyę: nie wypełniają zadań pedagogicznych i zawodzą oczekiwania prędkiego dorobku.

Zawcześnie.

Niektóre pisma codzienne podały pewne wiadomości, mające niby świadczyć o zwrocie w stanie ekonomicznym ku lepszemu. Że niektórzy kupcy z Cesarstwa porobili zamówienia, a szewcy i krawcy mają więcej roboty, to jeszcze niczego nie dowodzi. Protestów wekslowych coraz mniej, to też zjawisko naturalne. Ci co zbyt niepewnie stali na nogach, już przeważnie „padli", inni zamożniejsi czekają. Nic jednak nie świadczy o przesileniu na lepsze. Pewne fachy, zależnie od pory roku, mogą się podnieść, lecz to na ogólny stan rzeczy mało wpływa. Główna przyczyna — wojna trwa ciągle, a więc i jej skutki trwać będą pewnie nawet dłużej, niż ona. Z tym faktem przedewszystkiem należy się liczyć, i nie ulegać, tak zwyklemu u nas, zwyczajowi brania rzeczy lekko i różowo. Pierwszą potrzebą w ciężkiem położeniu jest jasne pojmowanie stanu rzeczy. Zbytni optymizm i uleganie złudzeniu wobec każdego nieco pomyślniejszego zjawiska przynieść może wielką szkodę — szczególniej nam, którzy i bez tego nie lubimy poważnych zagadnień, wymagających głębszego zastanowienia się i wspólnej, dłuższej akcyi.

Słuszna uwaga.

Wiadomo, jak ciężko u nas młodemu artyście zdobyć sobie najlichszą egzystencyę. Nawet ci, których „już kuryerki pochwaliły" muszą uganiać się za robieniem portretów na obstalunek, jeżeli nie chcą „wyrabiać" obrazów o jednej, dwu, trzech brzózkach, stosownie do zamówienia. A jakiego rodzaju są te zapotrzebowania „szerszej" publiczności najlepiej wiedzą kasyerki w naszych salonach artystycznych. Sprawie położenia młodych artystów poświęcił parę słusznych uwag *Tygodnik ilustrowany* w ostatnim numerze. Jest tam mowa o fałszywej dumie artystów, patrzących z pogardą na pracę dekoracyjną. A wszelkie roboty z tego zakresu mogłyby zapewnić niejednemu jakie takie utrzymanie. Przecież kierowanie smakiem szerokich sfer publiczności, pomijając społeczną doniosłość tego czynu, może wywołać podniesienie się poziomu kulturalnego, a co za tym idzie i zainteresowanie się prawdziwą sztuką. Autor fejletonu podaje za przykład artystów zagranicznych, którzy „nie wstydzę się szukać, pracy wiedząc dobrze, że licha robota hańbi więcej artystę, którego stać na lepszą, niż każda inna uczciwa, porządna praca, siejąca kulturę."

BADANIA NAUKOWE.

Stulecie maszyny.

Teorya Maltusa upadła już dawno pod śmiertelnym ciosem krytyki naukowej. Słowa nieubłagane, zdające się, wskutek wykrycia prawa o wzroście ludności, kłaść tamę wszelkim rojeniom o lepszej przyszłości, wszelkim wysiłkom, zmierzającym ku trwałej poprawie bytu klas pracujących, przeniesione zostały wraz z postępem nauki z półek, na których ekonomia klasyczna dumnie rozłożyła swe dogmaty, do szkatułki, służącej za skład rupieciom historycznym. I nikt nie odpowiada już głodnemu butnie, że przyroda przy swym stole nie dla każdego ma miejsce, bo nawet u maluczkich na duchu znikła już wiara w ziemię, rozdzielającą swe dary wedle miar różnych. Widzą w niej tylko rodzicielkę i wiedzą, że podziałem jej plonów inne zupełnie rządzą siły natury ludzkiej, społecznej.

Statystyka ludnościowa, zbierająca dane o tempie ilościowego rozwoju mieszkańców ziemi, statystyka wytwórcza, która choć w powijakach jeszcze, pozwala oceniać wzrost bogactw, rozwój wydajności pracy, a co najważniejsza technika, która wydajność tę potęguje do granic, o jakich wieki minione nie śniły nawet, podarły w strzępy „prawo Maltusa," tak dogodne dla wielu tem zupełnem złożeniem odpowiedzialności za urządzenia ludzkie na siły, działające bezwiednie. Lecz rozstać się z niem — ach jakżeż trudno! To też choć z obawy śmieszności żadna z urzędowych powag nauki ekonomicznej jawnie nędzy ludzkiej nieubłaganem prawem przyrody tłomaczyć się już nie stara, nie mniej skrytą furtką, cichaczem wprowadza je w bieg wywodów uczonych i, rozpatrując sprawy społeczne, szukając winowajcy w krzywdach społecznych — znajduje go najczęściej w gospodarczem roztargnieniu źle zaopatrującej swe spichrze matki-natury.

Jest to najwygodniej i w tem leży źródło owego silnego, prawie natarczywego podkreślania różnicy w usługach, jakie rozwój techniczny oddał w przemyśle a rolnictwie, które świeżo spotykamy w pracach Schmollera, najwybitniejszego przedstawiciela szkoły historycznej w ekonomii. *) Oblicza on, że w r. 175) w Niemczech 9 milionów pracującej ludności miało do pomocy siłę motoryczną, zwierzęcą, wodną i powietrzną równą własnej sile, teraz zaś obok 26 milionów zarobkujących stoi na usługach społecznych 6, a może 8 razy większa suma sił zwierzęcych i mechanicznych. „Ale przyrost ten cały skupia się przeważnie tylko w paru gałęziach pracy, a mianowicie w przemyśle tekstylnym, metalowym, w komunikacyi, tj. tam, gdzie praca ma przeważnie zadanie przyspieszenia, ułatwienia, uporządkowania i zautomatyzowania pewnych procesów ruchu..." „Rewolucyjny wpływ poczty, kolei, statków parowych i telegrafu na podział społeczny pracy, stosunki wymienne, na handel światowy nie da się z niczem prawie porównać! Transport np. 1,000 kilogramów na przestrzeni jednego kilometra kosztował przed stu laty 13—40 kop., teraz zaś co najwyżej 1 kop.

Faktu ogromnego wzrostu wydajności pracy zaprzeczyć nie można i mieszczaństwo przeczyć mu nawet nie pragnie, bo przecież zdobycze techniki i rozwój sił wytwórczych służyć mają za dowód doskonałości gospodarki kapitalistycznej. Trudność w tem tylko, by znaleźć odpowiedź na pytanie, jaką korzyść masom zarobkującym przyniosły te zdobycze, jaki stosunek zachodzi między wzrostem wytwarzanych bogactw a dobrobytem ogółu. I tu Schmoller faktom nie przeczy, lecz stara się je — wytłomaczyć.

Maszyna obniżyła koszta transportu, wytwarzania, odzieży, sprzętów domowych, wyrobów przemysłowych. Wszystkie narzędzia produkcyi stały się tansze, prócz tego, co człowiek kupuje bezpośrednio do życia i gospodarstwa. Już w produkcyi węgla i kruszców postęp techniczny niewielką odgrywa rolę: pokłady są ograniczone, a praca im dalej idzie w głąb ziemi, tem większe pociąga za sobą koszta. Wytwórczość rolnicza związana jest z ograniczoną powierzchnią ziemi, a zwłaszcza z istnieniem zdatnych pod uprawę gruntów. Wprzeciągu 100 lat ostatnich plony wzrosły wprawdzie podwójnie, a nawet potrójnie, ale wkład pracy i kapitału był 3,5, a często nawet 10 razy większy. Nic przeto dziwnego, że jeśli rzucimy okiem na budżet domowy robotnika, małego urzędnika, to pozycye towarów, które potaniały dają razem 20 do 40%, reszta zaś, których cena się nie zmieniła lub podniosła, jak środki żywności, opał i mieszkanie stanowią 80—60% jego dochodu. W miastach budujemy domy, które mają nie dwa, nie trzy, lecz 5—10 pięter, ale ten sposób budowania jest drogi, i przytem trzeba opłacać rentę gruntową, 10—20 razy większą, niżli przed 100 laty.

Konieczność opłacania renty gruntowej jest dla Schmollera zjawiskiem tak nierozłączonem z istnieniem gospodarki społecznej, że uważa ją wogóle za stałą, istotną część składową kosztów produkcyi. Prawo zmniejszającej się sprawności wkładów (diminishing returns) wydaje mu się zjawiskiem przyrodzonem, *bo badą nie rzeczywisty wkład pracy w ziemię, lecz koszta produkcyi rolnej.* Zaliczając zaś do nich rentę gruntową, traci z oczu fakt, wyłącznie ważny z punktu widzenia gospodarki społecznej, w przeciwstawieniu do prywatno-kapitalistycznej — że ten sam nakład pracy daje teraz, dzięki postępom chemii i mechaniki plon w dwójnasób zwiększony. Renta gruntowa, kategorya historyczna, odpowiadająca pewnej formie wytwarzania (opartej na własności prywatnej środków produkcyi) u „historyka" Schmollera staje się czemś obsolutnem, nierozłącznie z bytem ludzkości związanem. Ta przemiana pozwala mu doliczyć ją do stałych kosztów produkcyi i wysokie ceny środków żywności i mieszkań, które „stulecie maszyn i cudów" czynią dla biednych „stuleciem drożyzny" położyć na karb skąpej przyrody. Tak, przyroda jest skąpa, dlatego mylnem jest mniemanie społecznych optymistów, że inny podział dóbr mógłby zapewnić masom dobrobyt nawet przy 2—4 godzinach pracy dziennie. Plonów za mało, ludzi za dużo — i cień Maltusa błąka się znowu między nami!

Ale imienia jego Schmoller nie wymawia, ani też nie stawia tak smutnych, jak on, horoskopów na przyszłość. Wprawdzie na razie jeszcze rozwój techniczny nie zdołał ludziom zapewnić dobrobytu ni zbytku, ani nawet powiększyć ogólnej sumy subjektywnie odczuwanego szczęścia. A może ją nawet zmniejszył. „Stulecie maszyny" zniszczyło dawną gospodarkę domową, przerzuciło pracę wytwórczą z rodziny do przedsiebiorstw, stworzyło kapitalistycznych kierowników produkcyi i najemników. Dlatego też bilans jego, mimo tylu zwycięztw nad przyrodą, której siły w tak wysokim stopniu zdołał już ujarzmić, smutno się przedstawia. „Miejsce harmonii i spokoju zajęła

*) G. Schmoller: „Uber das Maschinenzeitalter," Berlin. 1903.

Tegoż: „Volkwirtschaftlehre." II tom. 1904.

walka między narodami o przewagę na rynkach światowych, walka między warstwami społecznemi o własność i posiadanie, wiedzę i władzę. Ciągła pogoń za zarobkiem, wybryki wolnej konkurencyi, zbytek, lekkomyślność, zanik dawnych wierzeń i obyczajów dopełniają smutnego obrazu.“ Ale Schmoller nie traci wiary w lepszą przyszłość, bo widzi już teraz jej zwiastuna. Z chaosu i wrzenia wyłaniają się przed jego oczyma potężne kontury nowych kształtów, wróżących szczęście ludzkości, narazie jeszcze bezcielesne, niegotowe. Jedno tylko już w chwale stanęło: mocarstwo niemieckie! Cesarstwa i kraje, gminy i korporacye, związki i stowarzyszenia otrzymały nowe, prawne podstawy swego bytu. Powstało państwo nowożytne wraz z armią i urzędnikami, zakładami naukowymi, handlem wymiennym, nowymi ukształtowaniami we wszystkich dziedzinach życia. A obok tego gmina nowożytna ze swą rozgałęzioną gospodarką, opieką nad biednymi, pieczą nad zdrowiem publicznem, której liczne zakłady i pracownie są w równej mierze dziećmi „stulecia maszyn,“ jak prywatne wielko-kapitalistyczne przedsiębiorstwo. Silna monarchia i będąca narzędziem w jej ręku gmina — oto instytucye, które swą władzą i siłą, swem prawem i porządkiem, w sprawiedliwem spełnianiu funkcyi rozjemcy, dać mają ład i porządek, umożebnić rozwój harmonijny. Z dumą zapewnia Schmoller, „że rząd niemiecki jest dość silny i sprawiedliwy, by mocną ręką zaprowadzić wszelkie potrzebne reformy, zapewnić spokój wewnętrzny.“

A słowa te, to klucz do całej działalności naukowej Schmollera. W studyach swych nad pruską polityką gospodarczą, nad średniowieczną gminą miejską, nad powstaniem państw nowożytnych, zawsze z pod osłonek umiejętnie zebranych faktów i słów, chłodnych, które nawoływały do trzeźwego badania przeszłości, skromnego znoszenia cegiełek pod budowę, której plan nawet dopiero ci, co po nas przyjdą, narysować mają, wysuwa się gorąca apoteoza silnej ręki. Wiara w nią napełnia go otuchą na przyszłość. Byle rząd był dość silny, to przy pomocy tych bogactw, jakie „stulecie maszyn“ stworzyło i stwarza, zapewni się z czasem i robotnikom tyle, że politycznie i gospodarczo będzie się można z nimi „ułożyć“ i „powrócić do normalnych warunków roboczych.“ Jakie warunki robocze wydają się Schmollerowi „normalne,“ niewiadomo. Czy może takie, jakie panowały w starożytnym Rzymie?

Jedno jeszcze ułatwi, zdaniem Schmollera, nastanie zgody społecznej. Miejsce zależnych wyłącznie od woli jednostek przedsiębiorstw zajmują w coraz to znaczniejszym stopniu towarzystwa akcyjne, kartele i trusty. Przyjmują one powoli charakter napół publiczny, a w kierownictwie ich obok punktów widzenia prywatno-zarobkowych przebijać się poczyna poczucie odpowiedzialności społecznej. „Im silniejsze, im trwalsze będzie ich stanowisko gospodarcze, im bliżej staną osiągnięcia monopolu w pewnych dziedzinach wytwarzania lub zbytu, tem łatwiej będą mogły, podobnie jak państwo lub gmina, zaopatrzyć dostatnio swych ludzi.“

Będą mogły w teoryi zapewne, ale praktyka uczy, że przedsiębiorstwa olbrzymie używają swej władzy ku innym celom. Celem kartelów i trustów jest podwyższenie zysków od kapitału przez uregulowanie podaży. Stają one, jako zwarta, silna jedność nietylko na zewnątrz wobec odbiorców, ale i na wewnątrz wobec pracowników. Korzyści, jakie pracującym zapewnia monopolistyczne stanowisko przedsiębiorcy, jego siła społeczna i polityczna, można studyować dostatecznie w Essen, w zakładach Kruppa, w pruskim zarządzie kolejowym lub bodaj w wiedeńskich gazowniach miejskich i tramwajach, gdzie ludzi niedogodnych przekonań wyrzuca się nawet bez pretekstu.

To, co Schmoller nazywa „poczuciem odpowiedzialności społecznej,“ jest w istocie tylko spotęgowanem uczuciem pychy społecznej i przewagi.

Pruska sprężystość w stosunkach państwowych i fabrycznych, monopol prywatny, oraz wiara w naturę skąpą, czyniącą ciężką pracę losem i przekleństwem większości, mają nam dać w przyszłości to wszystko, czego dotychczas „stulecie maszyny“ dać nam nie zdołało: spokojne zadowolenie, płynące z przeświadczenia, że lepiej, niż jest, być nie może. I oto filozoficzny dorobek, jaki zawdzięczamy „największemu ze współczesnych historyków-ekonomistów! Sto lat ostatnich, których wpływ, przekształcający całość życia społecznego, tak jasno i pięknie w swym „Zarysie“ maluje, dały mu tylko nową formę, w którą starannie przyoblekа trywialne pseudoprawdy, znane już sto lat temu. Tylko że wtedy głoszono je jeszcze jawnie, a teraz już wstydliwie, pod osłoną nowej techniki słowa, którą stworzyło również „stulecie maszyn,“ dające możność łączyć frazes postępowy z zachowawczością przekonań.

H. G.

LITERATURA I SZTUKA.

Antoni Czechow.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Wszystko jedno, gdzie był. Gdziekolwiek się znalazł, patrzył, słuchał i śmiał się.

Ludzie, których widział, byli mali i w małości swojej niezmiernie śmieszni. Śmiesznem było to, co mówili. Zdarzenia ich małego życia wydawały się nader komicznemi. Te małe figurki ludzkie można było sobie wyobrazić w rozmaitych położeniach i, kombinując rysy ich dusz maleńkich z przypadkowemi powikłaniami linij losu, stwarzać w wyobraźni zdarzenia jeszcze komiczniejsze, nieprawdziwe a prawdopodobne, karykaturalne napozór, a bardzo blizkie rzeczywistości. Można się było zabawić. Można było zabawić innych także.

Czechow śmiał się, bawił, chciał bawić innych—począł pisać lekkie, krótciutkie „historyjki“ i umieszczał je w jednym ze świstków humorystycznych stolicy.

A przecież w tych dniach, gdy inteligencya rosyjska pochyliła głowy nad trumną Czechowa, nie chowała ona żartownisia, bawiciela, zręcznego opowiadacza krótkich historyjek, fejletonistę *Strekozy*. Ten tam, w mogile leżący ze straszliwą powagą śmierci na twarzy, powstawał we wspomnieniu z obliczem strasznem powagą życia. W pamięci jawił się na chwilę uśmiech, który gościł tak niedawno na tych wargach — ale to nie był ów śmiech bawiącej się obserwacyą beztroski, na początku „Karyery“ literackiej; to był uśmiech ironiczny, trochę gorzki, jak u tych, co zaznali wielu rozczarowań, trochę pobłażliwy, jak u tych, co wiele zrozumieli. Stojący nad świeżą mogiłą wiedzieli, że bezwładna obecnie ręka nosiła nie pałeczkę Momusa, lecz kawałek rozpalonego żelaza, którem napiętnowała nieraz boleśnie płaskość życia i nikczemność dusz. Chowano jednego z niewielu mistrzów słowa literackiego w Rosyi współczesnej, znakomitego nowelistę, satyryka, dramaturga, artystę-poetę w prozie.

Jakim jest przedział pomiędzy fejletonistą *Strekozy*, a autorem wiejącej grozą „Celi szpitalnej nr. 6-ty“ i melancholijnego nawet w komizmie rysów poszczególnych dramatu "Trzy siostry"? Tu zdaje się być cała przepaść. Jeżeli nie przepaść, to w każdym razie droga niezmiernie odległa. Czy przebycie jej nawet w ciągu lat kilkunastu nie jest zagadką? Jak odbyło się przeistoczenie duszy Czechowa? Kto nie potrafi objaśnić tego, ten nie przedstawi nam pisarza, choćby streścił najsumienniej niezliczone jego nowele, kilka większych opowieści, parę dramatów — cały dorobek literacki, zawarty w dwunastu tomach.

A może przedziału niema — i Czechow *Strekozy* jest już w zarodku tym samym Czechowem, którego prochy wieziono niedawno uroczyście z zagranicy przez Petersburg do Moskwy? *)

Przedział *był* — i *nie było* go. A oto dlaczego:

Czechow bywał wprawdzie nieraz pusty, jak jego koledzy ze *Strekozy*, odrazu jednak wykazały się dwie różnice kapitalne pomiędzy nim a zwykłymi dostawcami humorystyki brukowej. Po pierwsze, on *dobrze* widział i słyszał. To znaczy nietylko to, co widzą i słyszą wszyscy. Był on obserwatorem bystrym. Posiadał pamięć rysów charakterystycznych. Powtóre — pisał dobrze, tj. odtwarzał wiernie szczegóły widziane i słyszane, był artystą. Jego opowiadania w *Strekozie* posiadają już jędrność, treściwość, koncentracyę rysów niezbędnych. Może nauczyła go tej krótkości, tego braku gadulstwa redakcya *Strekozy*, która dokuczała mu z początku, że daje „artykuły zadługie.“ Później inne pisma domagały się też skróceń. To zmuszało artystę do wyższego skupienia artyzmu.

Ta cecha talentu Czechowa — jędrny styl, artyzm charakterystyki i obrazowania — stawia go, zdaniem mojem, obok najwyborniejszych nowelistów: francuskiego Maupassanta i amerykańskiego Bret-Harta.

A pierwsza cecha — że *dobrze* widział i słyszał — sprawiła, że wydobył się ze szczeliny świstka humorystycznego na szerokie horyzonty literatury, napełniła treścią wartościową świat jego twórczości.

Oglądał Czechow swoje małe śmieszne figurki, wsłuchiwał się w małostkowe ich zdania, opowiadał komiczne perypetye ich żywota i śmiał się, bawił siebie i innych. Ale im więcej tych figurek przeniósł na papier, pokombinował możliwe ich losy i zdarzenia życiowe, tem straszniej robiło mu się na duszy. Przyglądał się im i dziwił się: były ciągle inne a wiecznie te same — gnieździła się w nich uparcie ta sama małość, mierność, nędza duchowa, płaskość, podławość drobiazgowych myśli i drobiazgowych uczuć, to, co Rosyanin określa charakterystycznie jednem, trudnem do przetłomaczenia słowem: „poszłost'.“ A im więcej kombinował zdarzeń, tem bardziej przerażał się: wiała z nich przy olbrzymiej różnicy pozorów ta sama szarość, pospolitość, nuda, głupota życia ludzi bezmyślnych. Nuda ta była niby *Ding an sich* pod całą zmiennością indywidualną przypadkowości życiowych.

I pewnego dnia Czechow przestał się śmiać. Zaczął gniewać się, płakać, z gniewu nawet litować się, ubolewać nad ofiarami ciemnoty. A jak śmiał się, to gorzko, jako człowiek rozczarowany. A jeżeli nawet zaśmiał się napozór lekko i wesoło,

*) Mówiąc nawiasem, inteligencya petersburska nie zjawiła się na dworcu kolei! W zawstydzeniu broniła się potem wobec goręcszej zawsze w uczuciach inteligencyi moskiewskiej niewiadomością daty przybycia zwłok. Ktoś wyrzekł, że gdyby Czechow widział, jak go chowano, do szeregu jego opowiadań przybyłoby jedno najsmutniejsze p. t. „Pogrzeb.“

to jak gdyby z przymusem, jak śmieje się mędrzec, pobłażliwy względem ułomności świata. I taki Czechow, nie mógł już pracować w *Strekozie*. Było mu za ciasno, jego duch potężniejący byłby rozwalił ściany „humorostycznej“ komórki.

Został satyrykiem. Dziwny satyryk, który śmieje się półgębkiem, który zrzadka tylko pokazuje zęby, szarpie nimi delikatnie, ubolewając nad marnością tych, których marność ośmiesza! Niezmiernie dziwny satyryk, który popada często w melancholię, nie ukrywa pod maską śmiechu stroskanej twarzy, wpada od czasu do czasu w liryzm i nie wstydzi się tego.

W czem tkwi satyryczny pierwiastek utworów Czechowa? Czechow — psycholog pokazuje małość ludzi, Czechow — malarz życia marność obyczajów. Społecznie ten rodzaj satyry posiada znaczenie ogromne. W świetle jej niekulturalność bohaterów Czechowa wystąpiła na jaw przerażająco. Jakiś angielski krytyk zauważył, że bez obrazów Czechowa nie mógłby pojąć, iż gdziekolwiek życie może być tak bezmyślne. Zwłaszcza w malowaniu okrucieństwa, którego jedyną podstawą jest brak myśli społecznej, Czechow jest nieporównany. Różni się on tem od Tołstoja, że w utworach swych z całą siłą domaga się kultury. Jest zdecydowanym Europejczykiem.

Ale nie należy sądzić, że w kulturze widzi ostateczne słowo rozwiązania. Kultura zmniejszy bezmyślność i zapełni nudę życia. Ale — czytam to pomiędzy wierszami utworów Czechowa — nie może ich znieść w zupełności. Czechow nie łudzi się. Bezmyślność życia tkwi głębiej, jest niejako w samej zasadzie, przenika warstwy kulturalne, jak i niekulturalne; nuda wieje z bezcelowości istnienia indywidualnego. Stąd tęsknota Czechowa jest tak głęboką. Stąd duchowe jego oblicze staje się coraz smętniejszem. Stąd w jego utworach jakiś tragizm beznadziejny. Bohaterki jego dramatu „Trzy siostry,“ przywalone, zmiażdżone przerażającą pustką, banalnością, powszedniością życia w małej mieścinie prowincyonalnej, usychają z dniem każdym, tracąc, młodość, zdolność do myślenia, siły, których niema na co użyć — wyrywają się do stolicy, rzucają w przestrzeń okrzyk tragiczny: „Do Moskwy! do Moskwy!“ Ta idea dramatu byłaby czemś niezmiernie drobnem i sam dramat byłby całkiem chybiony, (zwłaszcza, że brak mu żywej akcyi), gdyby w okrzyku: „do Moskwy!“ nie tkwiła tęsknota głębsza, symboliczna. Trzy siostry mogą wyrywać się do Moskwy, bo tam życie nie tak zacieśnione, jak na prowincyi; ale ktoś, co *z tą samą siłą*, jak one, wyczuje ciasnotę życia w Moskwie, wydzierać się będzie do Petersburga; mieszkaniec stolicy nadnewskiej podobnie marzeniami ucieknie do Paryża. Ale i w środowisku kultury, nad Sekwaną, duszy ludzkiej może być zaciasno. Z ziemi wydzierać się ona będzie — na gwiazdy. Trzeba widzieć „Trzy siostry“ na scenie teatru Stanisławskiego — jedynego teatru, który dowiódł, że sztuki Antoniego Czechowa wystawiać można, chociaż autor ich nie jest z temperamentu dramaturgiem — aby zrozumieć, że myśl ta nie jest śmieszną: poryw tęsknoty w okrzyku „do Moskwy“ jest sybolizmem, upostaciowaniem tęsknoty metafizycznej, jest beznadziejnem wołaniem „Excelsior“ ludzi, przykutych do skały życia, usychających na pustyni nudy!

Jako liryk, Czechow jest właśnie poetą nudy. Dziwna poezya! nuda wydaje się przecie najniepoetyczniejszem z uczuć. Ale Czechow posiada tajemnicę jedyną, którą posiadł sam jeden. Potrafi opisywać nudę, a nie nudzić, przedstawiać ją tak, aby przerażała i była nudą istotnie, a czyni to zajmująco. Nic bardziej szarego i powszedniego nad życie „Trzech sióstr,“ nic zwyczajniejszego i banalniejszego nad ich rozmowy, a przecież autor zmusza nas patrzeć i słuchać z uwagą przez ciąg czterech aktów! Jesteśmy zainteresowani nudą, niewątpliwą nudą. Gdyby ktoś inny napisał dramat tak *nudny* w treści, uciekli byśmy z teatru. Czechow, mikroskopujący nudę, wkłada w nią swoim darem poetyckim taką grozę, że kamieniejemy na miejscu. Więc nuda jest *tak* nudną? — pytamy, wstrząśnięci do głębi duszy...

Tak nudną! — powiada filozof-pesymista Czechow, spojrzeniem litości obejmującą całą ludzkość, niewiedzącą dla jakiego celu cierpi i w mękach pracuje, a zwłaszcza litując się nad tymi, którzy żyją w najgorszej nudzie — w bezmyślności i bezczynności.

Tak nudną! — podchwytuje Czechow-satyryk, artysta, działacz społeczny, groźnie patrząc z ukosa na tych, co życie psują innym bezmyślnością własną i brakiem dobrej woli, a nawołując wszystkich, aby szli naprzód, czuli, myśleli, działali... Bo tylko tak olbrzymią nudę życia ograniczyć przynajmniej można... W porywach optymizmu Czechow marzył, że tak można ją będzie nawet kiedyś — zabić... Wierzył w wartość cierpienia dla takiej przyszłości!..

Leo Belmont.

NOWE KSIĄŻKI

— Edward Paszkowski: **Jasne wody.** Lwów, nakładem Towarzystwa Wydawniczego, 1904.

Jedna więcej powieść w szarym, bezbarwnym tłumie. Widać w niej i pewną powagę myśli i dążenie do badania psychologii człowieka współczesnego i zamiar artystyczny, lecz niema ręki twórczej, wszystko jest blade, nikłe, miejscami przeciętne. Opisane są jakieś zdarzenia, jacyś niby-ludzie niby żyją, niby cierpią, niby giną. W słowach ich jest zimna i często banalna łatwość, która nic wychodzi po za obręb usiłowań bez powodzenia.

— Anatol France: **Wybór pism.** I. Pisma krytyczne. Tłomaczył Jan Sten. Lwów, 1904. Polskie Towarzystwo Nakładowe.

A. France należy do najciekawszych postaci współczesnej literatury francuskiej. Subtelny artysta-erudyta, wytworny sceptyk, jeden z najświetniejszych stylistów Francyi, wyróżnia się z całej plejady piszących wielkiem, głębokiem i nadzwyczaj podniosłem ukochaniem piękna duszy człowieczej. Zna on jej tajniki doskonale; wrażliwy na przeciętność i szablon, wyczuwa obok czarnych, ciemnych linij niezwykłość przejawów szczerej, naiwnej głębi ludzkiej. W krytyce krańcowy indywidualista, mówiący przy każdej sposobności o sobie, o własnych wrażeniach, czujący wstręt do wszelkich uogólnień estetycznych i zasad „objektywnych.“ wszędzie szuka owego nerwu drgającego życia, wysoce różniącego się od szarej przeciętności. Wrażliwość estetyczna cechuje najdrobniejsze jego szkice. Szeroki horyzont myśli i uczucia dozwala mu na objęcie paru małemi pociągnięciami pióra całej epoki, jako okresu istnienia ludzi, mających własne piękno w piersi i w ten lub inny sposób zdradzających wielkość swego skarbu przed światem. Głęboki, pozbawiony wszelkiej maniery, pozy i nieszczerości sceptycyzm powoduje niezwykle trafne ujęcie psychologii człowieka i zrozumienie głównego tonu jego organizacyi. Po za temi zaletami studya krytyczne A. France'a razem z innymi jego utworami odznaczają się elegancyą pięknej formy, brakiem wszelkiej banalności i wysoce indywidualnem uczuciem, stanowiącem razem z jego sceptycyzmem całość harmonijną. Jest on jednym z najbardziej jasnych, daleko patrzących i wielki talent posiadających pisarzy współczesnej Francyi. Należy on do tych, którzy do starości zachowali młodość, wypowiadającą się w nadmiernej wrażliwości.

Przekład p. Stena jest dobry, miejscami ładny. Numer 1, postawiony na karcie tytułowej pozwala przypuszczać, że inne utwory tego znakomitego pisarza zostaną też przyswojone naszej literaturze.

Z. B.

POEZYE

Wracająca fala.

Dłoń twoja drobna, zimna i daleka,
Żadnej pamiątki ode mnie nie czeka.
Serce twe w blasku odrodzonej zorzy
Żadnem przeczuciem o mnie się nie trwoży.

Żaden głos tobie słów tych nie powtórzy,
Których nie chciałem sam wymawiać dłużej.
Żadna pieśń ludzka tobie nie wyżali
Tęsknot powrotnej rozkochania fali.

Wiem, że to poryw rozpaczliwie próżny —
Że — choćbyś chciała — nie zniosę jałmużny,
Pomnąc, jak łaska ramion twych bogata

Wonnym swym bluszczem inną pierś oplata...
Wiem — i nie umiem żadnej wierzyć zmianie!
Niech się nade mną wola twoja stanie.

Mamert Wikszemski.

SPRAWY EKONOMICZNE

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

Podług *Arbeitsmarkt* stan rynku pracy od maja do czerwca począł się podnosić. Stosunki w Anglii, Francyi i Stanach Zjednoczonych zmieniły się na lepsze, choć przedstawiają się jeszcze o wiele gorzej, niż w roku ubiegłym. W Anglii cyfra ludzi bez pracy w maju wynosiła 6,3%, a w czerwcu spadła do 5,9% (w roku ubiegłym 4,5%). W przemyśle żelaznym liczba robotników bez zajęcia nie zmniejszyła się wcale, w fabrykach maszyn nawet nieco zwiększyła, w budownictwie także. Polepszyły się za to warunki w tkactwie. W fabrykach bawełnianych pracowano $47\frac{1}{2}$ godzin na tydzień (w maju 40). W zakładach, obrabiających wełnę stosunki jeszcze są lepsze. I płace też podniosły się nieco. Podczas gdy w maju 113,400 robotników dotknęła zniżka zarobków, a tylko 500 — podniesienie płacy, w czerwcu dla 7,000 została płaca zniżoną, a dla 7,700 podniesioną.

Podobne jest położenie we Francyi. Procent pozbawionych pracy wynosi 10 (w maju 10,7, w roku ubiegłym 8%). Zajęcia w rolnictwie i ogrodnictwie się zwiększyły. W tkactwie nie pogorszyło się. W innych gałęziach zauważyć się daje pewne polepszenie.

W Stanach Zjednoczonych położenie w tem się zmieniło, że wzrósł popyt na robotników rolnych. W kopalniach węgla stosunki były nieco lepsze, a w przemyśle zły stan rzeczy trwa ciągle. W końcu czerwca w zakładach budowy lokomotyw w Filadelfii wymówiono zajęcie 4,000 robotników, przyczem — brak zupełny obstalunków.

NA MARGINESIE.

Szczepienie ziem jałowych. Agronomia amerykańska dowiodła, że grunt całkiem nieurodzajny można uczynić bardzo wydajnym. Jak wściekliznę, febrę żółtą, dyfteryt udało się opanować za pomocą metody pasteurowskiej, tak w ziemię wyczerpaną i pozbawioną pierwiastków żyzności można wszczepić nowe źródła życia, które jej przywrócą cały utracony zasób sił. W tym celu przyrządza się ciasto w rodzaju drożdży. Każdy jego kawałek zawiera miliony zarodków w stanie suchym. Rolnik, otrzymawszy takie ciasto, pogrąża je w szafliku wody czystej. Zarodki odzyskują życie, a woda staje się mleczną. Nasienie koniczyny, grochu, warzyw, zanurzone w tej wodzie, nabiera nadzwyczajnej siły. Próba dokonana z pewną rośliną, której wydajność była bardzo słaba, a wysokość nie dochodziła 10 centymetrów, przyniosła w rezultacie zbiór całkiem nieoczekiwany przy wysokości przeszło metrowej.

Gutaperka sztuczna, tak długo poszukiwana, została nareszcie wynaleziona przez wiedeńczyka Gentscha. Wyrób ten, według zapewnień *Elektrotechnische Zeitung*, zupełnie jest podobny do produktu naturalnego, a tańszy o 35%. Gutaperkę Gentscha robi się z kauczuku i żywicy palmowej; obie te materye topią się przy tej samej temperaturze i nie rozdzielają nawet po ochłodzeniu. Gutaperka sztuczna trudniej ulega rozmiękczeniu, niż naturalna, posiada wyższą odporność elektryczną. Sposobem próby użyto jej do kilku kabli na przestrzeni 24 kilometrów pomiędzy wyspą a stałym lądem i otrzymano zupełnie dotąd zadawalające rezultaty. Jeden tylko zarzut można jej zrobić, że jest bardziej lepka, niż kauczuk naturalny, przeto niepodatna do lutowania; lecz w takim razie użyć można warstwy kauczuku czystego 2 centymetrów długości.

Ucho telefoniczne. Niektórzy twierdzą, że częste posługiwanie się telefonem nie nadwyręża słuchu, lecz jedno ucho czyni zdolniejszem do odbierania dźwięków, niż drugie. Aparaty telefoniczne tak są zwykle urządzone, że słucha się uchem lewem, wskutek czego to ucho nabywa większej łatwości do chwytania dźwięków, niż prawe. Łatwo się o tem przekonać każdemu, kto zazwyczaj słucha telefonu uchem lewem. Przyczyna tego bardzo prosta — przyzwyczajenie.

Szczęśliwy kraj. Tak pani Michaux nazwała Szwecyę w *Revue de Paris*. A źródło tego szczęścia w tem nadewszystko widzi, że tam każda kobieta jest tak lub owak zatrudniona, a więc czuje się zadowoloną i szczęśliwa.

Kobiety pracują w bankach, w urzędach pocztowych. Te ostatnie zamknięte są codzień od 3-ej do 4-ej, aby urzędnicy mogli odpocząć i wziąć udział w której z gier na powietrzu, tak popularnych w Szwecyi. W tym kraju, gdzie stopa życiowa jest wogóle wysoka, to co my nazywamy zbytkiem, spotyka się rzadko i uważane jest źle. Państwo nie krępuje wcale swobody jednostki i mało się miesza do jej życia. W rzeczach prawnych najbiedniejszy człowiek może otrzymać sprawiedliwość tanim kosztem. Procesy jednak są prawie nieznane, gdyż wszystko niemal załatwia się drogą sądów obywatelskich. „O kradzieży rzadko się słyszy, a ważniejsze przestępstwa są prawie nieznane... Tramwaje nie mają konduktorów, gdyż każdy podróżny swoją należność za przejazd wpuszcza do puszki przymocowanej u drzwi. W salach zabaw publicznych każdy z przychodzących tam zostawia kapelusz i okrycie w dużej sieni, gdzie niema żadnych stróżów postawionych do pilnowania." Pijaństwo uczyniło niemożliwem bardzo surowe prawo o sprzedaży win i napojów wyskokowych. Dzieciom pod groźbą ostrej kary niewolno sprzedawać tytoniu. Niema w świecie drugiego kraju, płacącego tak niewielkie podatki. Właściciele ziemscy płacą 2% wartości swej ziemi; istnieje podatek od służby 8½ p. na głowę; ze zwierząt tylko psy są opodatkowane; niema też oczywiście podatku od dochodu, ani żadnego protekcyonizmu dla przemysłu krajowego.

Życie na wsi ma charakter więcej patryarchalny, ziemia daje dobry dochód, 7—8 proc. Państwo kontroluje bardzo ściśle chów bydła, głównie co się tyczy czystości mleka. Każda obora wyprzątana jest i wymywana cztery razy dziennie, a dezinfekowana co rok.

Robotnicy rolni otrzymują zapłatę w pieniądzach lub w naturze. Służba domowa według naszych zapatrywań wynagradzana jest licho, lecz chlebodawca obowiązany jest mieć o niej pieczę tak w chorobie, jak w zdrowiu; dać wychowanie i naukę oraz jakieś rzemiosło ich dzieciom.

Szwecya może być nazwana rajem kobiet. Używają one tu tych samych praw i przywilejów, co ich mężowie i bracia. Które chcą pracować samodzielnie, mają wszelkie zawody dla siebie dostępne. Jedno z najzamożniejszych gospodarstw rolnych w Szwecyi prowadzone jest przez trzy kobiety.

Z PRASY.

— Ostatnia korespondencya *Now. Wrem.* z Warszawy mówi o majoratach, które „rząd rozdał urzędnikom rosyjskim po wojnie 1831 i powstaniu 1863 r."

„Cel tych nadań był polityczny: stworzenie w kraju wielkiej własności rosyjskiej, której przedstawiciele sami prowadziliby gospodarstwo. Stąd warunek, aby właściciele nie oddawali majoratów swoich w dzierżawę.

Majątków tych jest ogółem 389; zajmują one przeszło 730 tys. morgów i należą do 240 osób; najwięcej majoratów jest w gub. Suwalskiej (17—58 tys. des.). Z pośród wszystkich 240 właścicieli majoratów tylko 30 mieszka w granicach generał gubernatorstwa warszawskiego, a z nich tylko 15 prowadzi gospodarstwo samodzielnie. Reszta oddaje swoje majątki w dzierżawę, a właściwie w „administracyę poręczającą" — termin, wymyślony przez prawników miejscowych w celu obejścia prawa, które zabrania oddawać w dzierżawę majątki majoratowe. Takich zamaskowanych jest obecnie 667 — 525 Polaków-katolików, 87 Niemców, 40 Żydów i tylko 17 prawosławnych.

W dążeniu do oddawania majątków swoich w dzierżawę i uwolnienia się od samodzielnego prowadzenia gospodarstwa, właściciele majątków Rosyanie stanowią zupełne przeciwieństwo z obywatelami Polakami, którzy oddają majątki w dzierżawę niechętnie i rzadko. Uważane to jest tu — nie bezpodstawnie — za oznakę złego zarządzania swoim majątkiem. Właściciele majoratów Rosyanie otrzymują od swoich „administratorów" mizerny dochód 1,014,577 rb. rocznie, licząc w to i dochód z lasów, obejmujących w majoratach obszar około 160 tys. morgów. Przy najskromniejszym obrachunku majątki te mogą dać dochód trzech milionów rubli, gdyby prowadzić w nich gospodarstwo samodzielne. Ta różnica dwumilionowa, to minimum tego, co zostaje w ręku dzierżawców Polaków, Żydów i Niemców z rzeczywistego dochodu większych posiadłości ziemskich Rosyan w kraju. Oczywiście rząd rozdawał tak szczodrze majoraty nie w celu wzbogacenia całej tej instytucyi „administratorów." Jeżeli jeden z celów rozdawania ziemi — nagradzanie zasług urzędników — został osiągnięty, to podstawowe zadanie stworzenia samodzielnej, rosyjskiej, większej własności nie zostało wykonane. Tłomaczą to w ten sposób; że właściciele majątków nie mieli kapitału obrotowego i że większość należących do nich majątków nie stanowi całości, ale są podzielone, porozrzucane po różnych powiatach i guberniach. Ale to rozdrobnienie i to rozrzucenie nie jest zjawiskiem wspólnem dla całej większej własności tego kraju; niema tu tych ogromnych latyfundyów ziemskich, podobnych do wielkich majątków Rosyi nadwołżańskiej i południowej, niemniej jednak rolnicy tutejsi doskonale dają sobie radę z gospodarstwem. Co się zaś tyczy kapitału obrotowego, to ile razy tutejszy właściciel majoratu, Rosyanin, zwracał się do rządu z prośbą o pożyczkę, zezwalano Tow. kred. ziemsk. na wydanie takiej pożyczki, a skarb brał na siebie poręczenie jej spłaty wobec Towarzystwa. I prawie zawsze okazywało się, że pożyczka była brana nie na prowadzenie gospodarstwa, lecz na osobiste potrzeby właścicieli, a ziemia majoratowa pozostawała nadal w dzierżawie.

Należy przypuszczać, że niepodobna pogodzić się z takiem prowadzeniem gospodarstwa w majątkach majoratowych i należy wynaleźć jakieś środki osiągnięcia tego celu, w imię którego rozdawano tak szczodrze majoraty."

— *Köln. Volkszeitung* wypowiada się w kwestyi wojny afrykańskiej, że przedewszystkiem zbadać należy, o ile koloniści sami postępowaniem swem bezwzględnem z krajowcami przyczynili się do powstania. Występuje ostro przeciw kolonistom, którzy chcą odegrać rolę poświęcających się dla cywilizacyi i dobra narodu ofiar, a tymczasem jedynie chęć zysku i własny interes popchnęły ich do wędrówki w puszcze afrykańskie. Przeciwko nim podnoszono już nieraz ciężkie zarzuty nieludzkiego obchodzenia się z krajowcami. Dzisiaj żądają oni już nie ukarania, ale wytępienia krajowców, a sami pragną nietylko zagarnąć kraj cały dla siebie, ale chcą wynagrodzenia za poniesione straty w walce, którą sami wywołali.

Taką to jest kultura, którą cywilizacya pruska niesie pomiędzy spokojnych i szczęśliwych mieszkańców Afryki! Pytamy się, o ile Schletwein, a z nim *Köln. Ztng* i zastępy jej czytelników różnią się od osławionego księcia Arenberga, który stęplem świdrował w mózgu niedobitego murzyna. Okropna to cywilizacya!

— Dr. A. Grosglik daje nam w *Gońcu* taki oto obrazek z wojny:

„Godzina siódma wieczór. Muchy drzemią po kątach. Chorążowie nasi wszyscy, jak jeden mąż, ubrani. (Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe!). Cóż robić z czasem. Chyba pojechać na „Przystań" do ogrodu miejskiego, gdzie się odbywa dziś zabawa na rzecz rannych.

W pół godziny jesteśmy na miejscu. Ogród otoczony wysokim parkanem z gliny, jak zwykle w Mandżuryi. Mnóstwo drzew starych; aleje ładne i czysto utrzymane; strzyżona trawa; dwie orkiestry, grające naprzemian; stoliki rozstawione, jak wszędzie w Europie; miłe twarzyczki, jak w Warszawie; pyszne likiery, jak w Paryżu; brak karoty, jak nigdzie w świecie!.

Tłum spacerowiczów, barwny i różnorodny. Wojskowi, cywilni, przeważnie urzędnicy banku, w ubraniach tennisowych i kapeluszach panama; żony ich i córki w eleganckich toaletach. Turek z głową udrapowaną w czerwoną materyę, siostry miłosierdzia w białych kornetach, kupcy i dygnitarze chińscy w bogatych i co dziwniejsza, czystych strojach...

Na każdym kroku twarz znajoma, tam kolega Gurbski prowadzi ożywioną rozmowę z bardzo a bardzo przystojną niewiastą. Tu kolega Kunczyński, dopiero co przybyły z Chajczenu w sprawie swego szpitala, opowiada, co słychać na południu. Opodal nasi chorążowie porównywają przy stoliku piwo charbińskie z warszawskiem, ze stanowczem uznaniem dla ostatniego. Wszystko uśmiecha się, bawi, spaceruje, sypie dowcipami i żartami. W tem weselu powszechnem zapominam i ja o nowinie, której mi przed chwilą udzielono. A mianowicie przed przybyciem tutaj, gdy miałem jechać na Sachalin, umówiłem się z prowizorem Bykowem i z dwoma lekarzami, że pojedziemy razem. Tymczasem mnie przeznaczono gdzieindziej: oni zaś pojechali końmi po Amurze. Dziś dowiedziałem się, że wszyscy trzej zo-

stali zabici przez rozbójników. Ponieważ miałem jechać w jednych saniach z nimi, byłby i mnie ten sam los spotkał...

Tłum dokoła wre ożywieniem, gwar się wzmaga. Zapalono lampiony autentycznie chińskie. Nieskończone sylwetki migają w cieniu."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Tow. ogrodnicze podaje do wiadomości publicznej, że pierwsza próba odczytów ludowych, mających na celu rozpowszechnienie pomiędzy włościanami wiadomości z dziedziny ogrodnictwa i sadownictwa dała wyniki zadawalające. Na odczyty te przybyło: w Grodzisku 150 włościan, w Błoniu 170, w Skierniewicach 250, w Łowiczu 250 i w Radzyminie 150. Po każdym odczycie rozdawano włościanom nasiona ogrodnicze. Wobec takiego powodzenia Towarzystwo zwróciło się do zarządu warszawskiego z prośbą o pozwolenie na nowy cykl odczytów według poprzedniego programu. Mają one być urządzone w miejscowościach następujących: 4 września w Mławie, 11 w Nasielsku, 18 w Grójcu, 25 w Zakroczymiu i 2 pazdziernika w Kutnie. Kierownik odczytów w Kutnie, p. Leśniewski, zaznacza, że urządzone przez niego udały się nadspodziewanie. Pomimo pory żniw, do Kutna na odczyt przybyli włościanie nietylko z powiatu Kutnowskiego, lecz również z Łowickiego, Włocławskiego i Łęczyckiego. Najwięcej interesowała włościan sprawa nawozów sztucznych, co do której zadawali prelegentowi mnóstwo pytań.

— Dnia 4 listopada z funduszu im. Karola Szlenkera wydane będą zapomogi w naturze, narzędziach lub niezbędnych do pracy materyałach osobom wyznania chrześciańskiego, pochodzenia polskiego, bez różnicy płci, zajmującym się rzemiosłem lub drobnym przemysłem, umiejącym czytać i pisać, pracującym we własnych lub cudzych warsztatach. Tym zaś, co pragną kształcić się w pewnym zawodzie, wydawane będą zapomogi peryodyczne. Własnoręczne podania wnosić należy do kancelaryi Muzeum przemysłu i rolnictwa od d. 1 do 15 września.

— W *Kur. Warsz.* czytamy: W ostatnich czasach wielu izraelitów, mieszkających po wsiach w Cesarstwie, zaczęło opuszczać miejsca pobytu, przenosząc się do miast bliższych. Twierdzą oni, że obecnie życie na wsi jest bardzo utrudnione. Dawniej brali pomniejsze dzierżawy od właścicieli dóbr lub trudnili się drobnym handlem. Obecnie do dzierżawy trzeba mieć dużo pieniędzy, włościanie mają instytucye kredytowe i zakładają sklepy spółkowe. Izraelici więc osiadają w miasteczkach, a wielu zwraca się do Towarzystwa kolonizacyjnego „Ica" z prośbą o pomoc w celach emigracyjnych.

— „Schronienie dla nauczycielek" w Zakopanem ogłosiło sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że w r. b. liczyło 500 członków i miało dochodu 8,020 koron, kapitał żelazny wynosił 867 kor., fundusz na budowę własnego domu 1,481 kor. Celem stowarzyszenia jest niesienie pomocy nauczycielkom potrzebującym kuracyi klimatycznej i ułatwienie im pobytu w Zakopanem. Osoby pragnące korzystać z pobytu w Schronieniu, powinny nadesłać na ręce sekretarki trzy świadectwa: 1) nauczycielskie, 2) lekarskie z oznaczeniem rodzaju i stopnia choroby, pisane dla lekarza, oraz 3) świadectwo ubóstwa, oraz opłatę dzienną 2 kor. co tydzień z góry, za co otrzymują mieszkanie, zupełne utrzymanie i opiekę lekarską. Prawie-śliczy się osobno. Tytułem wpisowego należy uiścić na koszta dyzynfekcyi 6 kor. Kandydatki przyjmowane są na trzy miesiące, w razie zaś potrzeby termin bywa przedłużony.

— Urząd starszych zgromadzeń rzemieślniczych wydelegował majstrów, którzy będą kontrolowali zapisywanie do cechów terminatorów i czuwali nad posyłaniem ich do szkół rzemieślniczych.

— Dnia 23 z. m. upłynął termin wydawania pozwoleń na bezpłatny przejazd do miejsca zamieszkania robotnikom, pozbawionym zajęcia w Warszawie. Z ulgi tej skorzystało tylko 200 osób.

— *Kur. Warsz.* donosi, że w łódzkiem Tow. dobroczynności powstał zamiar dla pozbawionych pracy robotników szukać zajęcia... w fabrykach zagranicznych.

— Ostatni spis jednodniowy przekonywa, że Warszawa posiada 42% mężczyzn i 50% kobiet nieumiejących ani czytać, ani pisać.

— Zatwierdzone zostało w Kaliszu Stowarzyszenie wzajemnej pomocy na przypadek choroby i w celu zabezpieczenia starości. Dzieli się ono na 4 grupy, których członkowie płacąc składki po 6, 12, 24 i 48 rb. po 25 latach otrzymywać będą do śmierci 75, 120, 180 i 300 rb. rocznie.

— W r. 1904 było czynnych w Niemczech 230,224 kas ubezpieczających na wypadek choroby z 6 milionami uczestników; zachorowań było $3\frac{1}{2}$ mil. z 67 mil. dni choroby. Dochód kas wynosił 193 mil. mar., rozchód — 167 mil., honorarya lekarzów $37\frac{1}{2}$ mil., lekarstwa i pielęgnowanie $26\frac{1}{2}$ mil., wsparcia pieniężne w czasie choroby $74\frac{1}{2}$ mil.; każdy ubezpieczony kosztował 18,13 mar. rocznie. Majątek kas wynosił 173 mil. marek.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty przedstawiło do rozpoznania zjazdu kuratorów okręgów naukowych następujące sprawy: pomnożenia liczby szkół, nowej organizacyi wyższych zakładów naukowych, projekt nowej ustawy uniwersyteckiej: skrócenie wakacyj i zastąpienia na niektórych wydziałach kursu czteroletniego — trzyletnim, zniesienia semestrów, a zaprowadzenia egzaminów kursowych, dopuszczenia eksternów do wyższych zakładów technicznych po złożeniu egzaminów z kursu gimnazyalnego bez języków starożytnych. Jednocześnie ministeryum, z uwagi na szkodliwość przepełnienia zakładów naukowych, proponuje, ażeby do uniwersytetów dopuszczano tylko tych, którzy w świadectwie dojrzałości mają co najmniej stopień 4 z przedmiotów obieranego przez siebie wydziału, i którzy złożą nadto przed komisyą uniwersytecką egzamin sprawdzający.

— Na pierwsze kursy czterech wydziałów uniwersytetu w Moskwie przyjęto 748 studentów z pośród 1,200 kandydatów.

Zdrowie publiczne. W d. 15—20 października odbędzie się w Paryżu pierwszy międzynarodowy kongres w sprawie hygieny mieszkań. Komitet zaprasza do współudziału nietylko lekarzy, lecz także nauczycieli, budowniczych, inżynierów i wszystkich zajmujących się sprawą mieszkań robotniczych. Zgłoszenia przyjmuje sekretarz generalny kongresu, dr. Marie-Davy w Paryżu.

— W okręgu zakaspijskim w załodze Merwu zachorowało na cholerę 53 osób, wśród ludności cywilnej — 13.

— Wobec obawy cholery zamknięto granicę obwodu Zakaspijskiego od strony Persyi; ustanowiono na niej 6 przejść, nad któremi rozciągnięto dozór lekarski.

— *Russk. prawda* donosi, że w Persyi zmarło dotąd na cholerę 200,0 0 osób, z czego na sam Teheran przypada około 30,000.

Literatura i prasa. Od 1 listopada zacznie wychodzić pod redakcyą p. Heleny Tokarzewskiej tygodnik ilustrowany p. t. *Towarzysz Młodzieży*.

Sprawy ekonomiczne. Ministeryum rolnictwa postanowiło wyjednać pozwolenie na zakładanie przy stowarzyszeniach rolniczych kas wzajemnego kredytu w celu ułatwienia rolnikom nabywania ulepszonych [illegible]

— Urzędy rzemieślnicze wielu miast Królestwa Polskiego, tudzież gubernij południowych Cesarstwa zwróciły się do ministeryum skarbu o przyznanie rzemieślnikom prawa korzystania z kredytu w kantorach i oddziałach Banku państwa. Żądają oni, ażeby kredyt był przyznawany na podstawie opinii urzędów rzemieślniczych i za poręczeniem dwóch rzemieślników, uznanych również przez urząd za odpowiedzialnych. (*Kur. Warsz.*).

— Według *Kur. Warsz.* w handlu i rzemiosłach warszawskich zaczyna się budzić pewne ożywienie. Do składów hurtowników przybywają kupcy z najdalszych gubernij Cesarstwa, celem nabywania towarów zimowych. Wielu przyjechało z nad Wołgi, a tym kupcy warszawscy udzielają najchętniej kredytu, ponieważ urodzaje były tam bardzo dobre i wogóle są to odbiorcy zamożniejsi. W handlu obuwiem, który najbardziej ucierpiał z powodu wojny, oraz w krawiectwie, ruch także się ożywia.

— Odwołano zapowiedziane na rok b. wystawy pszczelnictwa w Moskwie i przemysłu wiejskiego w Wołkowyszkach, gub. Suwalskiej.

Koleje i komunikacye. Centralny zarząd kolejowy, chcąc zapobiedz częstym zmianom pracowników służby ruchu, zwłaszcza najniższych, obarczonych najcięższą pracą, obmyślił projekt polepszenia ich bytu przez podniesienie etatów i usystematyzowanie podwyżki pensyj.

— Otworzono ruch pociągów na drugiej linii kolejowej Ekaterynińskiej, od zagłębia donieckiego do stacyi Dołgincewo.

Katastrofy. Podczas 40-kilometrowego marszu z Grottau do Kostelelz w Czechach zmarło 8, zachorowało ciężko 85 żołnierzy, przeważnie ojców rodzin, powołanych na ćwiczenia wojskowe.

W St. Paul i Minneapolis cyklon poczynił ogromne spustoszenia; 15 osób zabitych, 400 rannych.

Pożary. Klęska ogniowa nawiedziła w ostatnich czasach wieś Lusławice, w pow. Częstochowskim, Przystałowice w pow. Opoczyńskim, Porajec w pow. Janowskim, Konary, w pow. Grójeckim, Kaczurki i Hutki w pow. Zamojskim, Aleksandrów w p. Nowo-radomskim, Luboń w pow. Włocławskim, Łachwie w gub. Mińskiej. W każdej z tych miejscowości spaliło się kilka lub kilkadziesiąt zabudowań, inwentarz i zbiory tegoroczne.

OFIARY.

Na pogorzelców: J. W. i K. rb. 15.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 20 Августа 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.